

BIBLIOTEKA
M. P. W. G. W. W. W.
W. B. A. N. S. K. U.

Cena zł 20

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 11 wrzesień 1949 r.

Wydawnictwo Gdanki
Biblioteka

CIU 9013

Nr 36 (198)

TRESC NUMERU: J. W. Goethe — Pieśń majowa; — Tramwaje; A. Giszwid — O powszechną normę; Czytelnik uważa, że...; J. P. Gawlik — Wang; M. A. Wasilewski — Pokusa — Podróż do smutku; Tydzień kulturalny.

G. K. Chesterton

tłumaczyl: Zygmunt Kubiak

CZŁOWIEK W JASKINI

(Rozdział z książki pt. „O wiecznym człowieku“)

Gdzieś bardzo daleko, w pewnej dziwnej konstelacji położonej w nieskończonej głębi nieba, znajduje się mała planeta, którą astronomowie być może pewnego dnia odkryją. Przynajmniej nie mogłem nigdy ani w ich minach, ani w ich postępowaniu dostrzec niczego, co by wskazywało, że ją odkryli, chociaż jest faktem, że chodzili po niej cały czas. Jest to planeta, która wydaje z siebie bardzo dziwne rośliny i bardzo dziwne stworzenia; ale żadne z nich nie jest tak dziwne jak naukowcy. W taki sposób rozpocząłbym pisanie historii świata, gdybym miał zachować naukowy obyczaj rozpoczęcia jej od opisu astronomicznego kosmosu. Spróbowałbym nawet obejrzeć tę ziemię z zewnątrz, nie przez oklepane twierdzenie o jej położeniu względem słońca, ale przez wysiłek wyobraźni dążący do uchwycenia jej odległego położenia z punktu widzenia odczłowieczonego obserwatora. Ale ja nie mam zaufania do odczłowieczania się w celu studiowania człowieczeństwa. Nie mam zaufania do uwydatniania przestrzeni, które mają pomniejszyć świat. Sądzę nawet, że jest coś prostackiego w tej myśli, która usiłuje zgromić ducha przez wymiary. I o ile pierwszy pomysł jest w istocie niewykonalny — pomysł uczynienia z mi dziwną planetą po to, by podkreślić jej ważność, — o tyle równie nie skłonię się do innej sztuczki polegającej na robieniu z ziemi drobnej planety po to, by pozbawić ją ważności. Raczej na to położyłbym nacisk, że my nawet nie wiemy, że jest ona w ogóle planetą, w takim sensie, jak wiemy, że jest ona pewnym miejscem; i to miejscem bardzo niezwykłym. To jest sprawa, którą pragnę podkreślić na samym wstępie, jeśli nie w odniesieniu do astronomii, to przynajmniej w jakimś bardziej pospolitym sensie.

Jedną z moich pierwszych niefortunnych przygód publicystycznych dotyczyła komentarza na temat Grant Allen'a, który napisał książkę „O ewolucji idei Boga“. Zrobiłem wtedy przypadkiem uwagę, że byłoby o wiele bardziej interesujące, gdyby Pan Bóg napisał książkę o ewolucji idei Grant Allen'a. Pamiętam, że redaktor sprzeciwił się mojej uwadze, na tej podstawie, że była ona bluźniercza. To naprawdę nieźle mnie ubawiło. Bo cały dowcip polegał na tym, że redaktorowi nigdy nie przyszło do głowy zwrócić uwagę na sam tytuł książki, który był istotnie bluźnierczy: nazwał on

bowiem w tłumaczeniu na nasz normalny język: „pokażę wam, jak powstało wśród ludzi to bezsensowne przekonanie, że istnieje Bóg“. Moja zaś uwaga była zupełnie pobożna i godziwa, przeniknęła wiarą w Boskie działanie nawet w jego pozornie ciemnych, czy nie zrozumiałych przejawach. W tej godzinie nauczyłem się wielu rzeczy, a między innymi tego, że jest coś czysto werbalnego w znacznej części tej całej agnostycznej rewolucji. Redaktor nie zobaczył istoty rzeczy, bo w tytule książki dłużej słowo było na początku, a krótkie na końcu, podczas gdy w moim komentarzu krótkie słowo znalazło się na początku i wywołało w nim pewien wstrząs. Zauważyłem, że jeżeli stawia się takie słowo jak Bóg w jednym zdaniu z takim słowem jak pies, to te urwane i kanciaste względem siebie słowa działają na ludzi jak strzały z pistoletu. Czy się mówi, że Bóg stworzył psa, czy też, że pies stworzył Boga, to zdaje się nie mieć znaczenia; to jest tylko jeden z tematów jałowych dysput przesubtelnych teologów. Ale dopóki rozpoczyna się od długiego słowa, takiego jak ewolucja, reszta już popłynie gładko i nieszkodliwie; bardzo możliwe, że redaktor nie przeczytał całości tytułu, bo jest to dość długi tytuł, a on miał dość dużo spraw na głowie.

Otóż to drobne zdarzenie pozostało na zawsze w mojej pamięci niby pewnego rodzaju przypowieść. Większość nowoczesnych opisów historii człowieka rozpoczyna się od słowa „ewolucja“ i od dość obszernego wykładu ewolucji, a przyczyna tego jest zupełnie ta sama co i w tamtym wypadku. Jest coś powolnego, łagodnego i stopniowego w tym słowie, a nawet w tej całej idei. Ale w rzeczywistości, w odniesieniu do tych pierwiastkowych rzeczy, nie jest to bardzo praktyczne określenie ani bardzo pożyteczna idea. Nikt nie może sobie wyobrazić, jak nie mogło zmienić się w coś. Nikt nie może ani o cal zbliżyć się do tej tajemnicy przez tłumaczenie jak coś mogło zamienić się w coś innego. Jest doprawdy o wiele bar-

dziej logiczne zaczynać od słów: „na początku Bóg stworzył niebo i ziemię“, nawet jeśli to znaczy tylko: „na początku jakaś niepojęta siła rozpoczęła jakieś niepojęte działanie“. Bóg jest to w istocie nazwa tajemniczy i żaden człowiek nigdy nie przypuszczał, żeby mógł sobie wyobrazić, jak świat został stworzony, podobnie jak nie przyszło mu do głowy, żeby sam mógł świat stworzyć. Ale co do pojęcia ewolucji, to się je błędnie uważa za wyjaśnienie. Zostawia ono w wielu umysłach fatalne złudzenie, że je rozumieją i wszystko inne z nim; zupełnie tak samo jak wielu ludzi żyje w pewnego rodzaju iluzji, że czytali „Pochodzenie gatunków“.

A to pojęcie czegoś gładkiego i powolnego niby stok wzgórz ma wielki udział w powstaniu owego złudzenia. Jest to nie tylko złudzenie, ale również nielogiczność. Bo kwestia powolności nie ma tu w istocie nic do rzeczy. Żadne wydarzenie nie staje się ani trochę bardziej zrozumiałe czy niezrozumiałe w zależności od tempa, w jakim następuje. Dla człowieka, który ry nie wierzy w Boga, powolny cud byłby tak samo nieprawdopodobny jak szybki cud. Grecka czarna równica podobno zamieniła żelazny ry w świnie uderzeniem różdżki. Ale gdyby nasz znajomy z marynarki stawał się co dzień podobniejszy do świnia, po to, by wreszcie stanąć przed nami jako czworonóg z kręconym ogonkiem, to powolność przemiany wcale by nie złagodziła samego faktu. Przeciwnie. Byłby on jeszcze bardziej niepokojący i niezwykły. Średniowieczny czarnoksiężnik mógł lecieć przez powietrze ze szczytu wieży, ale widok starszego pana idącego przez powietrze powolnym spacerkiem byłby również rzeczą wymagającą jakiegoś wyjaśnienia.

A jednak cała racjonalistyczna metoda ujmowania historii jest przeniknięta tym dziwnym i nieuzasadnionym przekonaniem, że można uniknąć trudności, a nawet usunąć tajemnice, dzięki zwróceniu uwagi na samą powolność w rozwoju jakiejś rzeczy. Na in-

nym miejscu trzeba będzie coś o tym powiedzieć w odniesieniu do konkretnych przykładów. Tu mam na myśli fałszywą atmosferę łatwości i wygody, którą daje sama sugestia powolnego przebiegu; ten rodzaj pociechy, który można by zapewnić nerwowej, starszej damie jadącej po raz pierwszy samo chodem.

Pan H. G. Wells wyznał, że jest prorokiem; a w tej sprawie był prorokiem na swój własny koszt. Rzecz szczególna, że jego pierwsza opowieść fantastyczna była kompletną odpowiedzią na jego ostatnie dzieło historyczne. Maszyna Czesu zniszczyła z góry wszystkie wygodne wnioski oparte na względnym czasie. W tym wzniósłym koszmarze bohater działał, jak drzewa wystrzelają do góry niby zielone rakiety, jak roślinność rozlewa się wokół niby zielony pożar, albo jak słońce pędzi przez niebo ze wschodu na zachód z szybkością meteora. A jednak w jego mniemaniu te rzeczy były tak samo naturalne, kiedy odbywały się szybko. A w naszym przekonaniu są one tak samo nadnaturalne, kiedy odbywają się powoli. Ostatecznym pytaniem jest, dlaczego one w ogóle się odbywają; i każdy kto naprawdę rozumie to zagadnienie, będzie wiedział, że to zawsze było i zawsze będzie zagadnieniem religijnym, albo w każdym bądź razie filozoficznym lub metafizycznym. Z całą pewnością nie będzie sądził, że da się je rozwiązać przez zastąpienie zmiany nagłej zmianą stopniową; czyli inaczej mówiąc, przez zupełnie względną kwestię, czy ta sama opowieść była powoli wysnuta czy też szybko odklepana, jak można zrobić z każdą opowieścią filmową przez kręcenie korby.

Czego naprawdę potrzeba do rozważania tych zagadnień pierwotnego istnienia, — to właśnie pewnej pierwotności ducha. Wskrzeszając wizję pierwszych rzeczy chciałbym prosić czytelnika, aby dokonał razem ze mną pewnego eksperymentu prostoty. Przez prostotę rozumiem nie głupotę, ale pewną jasność widzenia, które dostrzega raczej takie rze-

czy jak życie, niż takie słowa jak ewolucja.

W tym celu rzeczywiście było by lepiej przekreślić korbę Maszyny Czesu trochę szybciej i zobaczyć trawę rosnącą i drzewa strzelające ku niebu, jeśli by ten eksperyment mógł skoncentrować i uplastycznić rezultat całej sprawy. Co my wiemy w sensie, w jakim nie wiemy niczego innego, to to, że drzewa i trawa rzeczywiście rosły i że inne nadzwyczajne wydarzenia rzeczywiście się zdarzają; że dziwaczne stworzenia unoszą się w pustym powietrzu przez uderzenia gromy achemlarzami o różnych fantastycznych kształtach; że inne dziwaczne stworzenia poruszają się żywe pod ciężarem masy wodnej, a jeszcze inne chodzą na czterech nogach, najdziwniejsze zaś ze wszystkich stworzeń chodzi na dwóch nogach. To są rzeczy, a nie teorie, i w porównaniu z nimi ewolucja i atom, a nawet system słońeczny — to tylko teoria. Chodzi tu o historię, a nie o filozofię; trzeba więc tylko zaznaczyć, że żaden filozof nie zaprzecza tajemnicy, która otacza dwie wielkie przemiany: pochodzenie samego wszechświata i pochodzenie zasady życia. Przeważnie filozofowie są dość oświeceni, aby dodać, że trzecia tajemnica dotyczy pochodzenia człowieka. Innymi słowy, trzeci most był zbudowany ponad trzecią przepaścią niepojętego, kiedy przyszło na świat to, co nazywamy rozumem, i to, co nazywamy wolą. Człowiek nie jest zwykłą ewolucją, ale raczej rewolucją. To, że ma kręgosłup i inne części organizmu według wzoru podobnego do organizmu ptaków i ryb, jest faktem oczywistym, jakkolwiek byłoby jego znaczenie. Lecz jeśli usiłujemy spojrzeć nań jako na stworzoną stojącego na tylnych odnóżach, spostrzemy, że wynika z tego coś bardziej fantastycznego i niespodziewanego, niż gdyby stał na głowie.

Wezmę jeden przykład, który mi posłuży jako wstęp do dziejów człowieka. Ilustruje on to, o czym myślę mówiąc, że potrzeba dziecięcej bezpośredniości, aby dojrzeć prawdę o dziecięctwie świata. Ilustruje on to, co myślę mówiąc, że mieszanina popularnej nauki i dziennikarskiego żargonu pomieszała fakty dotyczące pierwszych rzeczy tak, że nie widzimy już która z nich jest naprawdę pierwsza. Ilustruje on, — chociaż tylko w jednej dogodnej ilustracji — wszystko, o co mi chodzi, gdy mówię, że trzeba dostrzegać ostre różnice nadające kształt historii, a nie zatapiać je we wszystkich

Do P.T. Czytelników
Niniejszym zawiadamiamy, że od dn. 1 września 1949 r. Redakcja i Administracja „DZIS i JUTRO“ mieści się Warszawa, Mokołowska nr 43 I-sze piętro Sekretarz Redakcji przyjmuje codziennie, prócz poniedziałków i piątków w godzinach 12 - 13-ta

DA 19102

tych ogólnikach o powołności i tożsamości. Bo my naprawdę szukamy, mówiąc słowami Wella, zarysu historii. Ale możemy zaryzykować twierdzenie, według słów Mantellini'ego, że ta ewolucjonistyczna historia nie ma wcale zarysu. A nade wszystko przykład mój ilustruje ten fakt, że im bardziej patrzymy na człowieka naprawdę jako na zwierzę, tym mniej wyda się on podobny do zwierzęcia.

Dzisiaj wszystkie nasze powieści i pisma aż się roją od niezliczonych aluzji do popularnej postaci zwanej człowiekiem jaskiniowym. Zda się, że go zupełnie do kładnie znamy, nie tylko jako postać zbiorową, ale również jako indywidualność. Jego psychologia jest poważnie brana w rachubę w psychologicznych powieściach i w psychologicznym lecznictwie. O ile mogą się zorientować, to jego głównym zajęciem w życiu było rozbijanie własnej żony i w ogóle traktowanie kobiet w tzw. nieokrzesany sposób. Nigdy mi się nie zdarzyło znaleźć potwierdzenia tego przekonania; i nie wiem, na jakich pierwotnych pamiętnikach lub prehistorycznych aktach rozwojowych jest ono oparte. Ani też, jak wyjaśniłem na innym miejscu, nigdy nie mogłem dojrzeć prawdopodobieństwa takiego stanu rzeczy, nawet rozważanego a priori. Zawsze nam wmawiają, bez żadnego uzasadnienia i bez żadnej podstawy, że pierwotny człowiek chwycił maczugę i ogłuszał kobiety, zanim ją zdobył. W zestawieniu jednak z każdą analogią z życia zwierząt wydawało by się prawie chorobliwą skromnością i wstrzemięźliwością ze strony kobiety zawsze upierać się przy tym, że dopiero po ogłuszeniu można ją zdobyć. Powtarzam, że nie mogę nigdy zrozumieć, dla czego żeńska połowa ludzkości miałaby być tak subtelna, podczas gdy męska połowa była tak nieokrzesana. Człowiek jaskiniowy mógł być zwierzęcy, ale nie ma

żadnego powodu, żeby miał być bardziej zwierzęcy niż zwierzęta. A miłość wśród żyraf i wodne romanse hipopotamów dokonują się bez tych wstępnych wrzasków i bijatyki. Człowiek jaskiniowy mógł być nie lepszy od jaskiniowego niedźwiedzia; ale młoda niedźwiedzica, tak sławna w hymnologii, nie odznacza się bynajmniej taką skłonnością do staropanieństwa. Jednym słowem, te szczegóły życia rodzinnego w jaskini zaskakują mnie, tak w odniesieniu do ewolucyjnej, jak i do statycznej hipotezy; i w każdym razie chciałbym wejrzeć w ich uzasadnienie, lecz na nieszczęście nigdy nie mogłem go znaleźć. Ale jedna rzecz jest dziwna: podczas gdy dziesięć tysięcy języków mniej lub więcej naukowej czy literackiej plotki zdawało się mówić jeden przez drugi o tym nieszczęsnym jegomościu znanym pod nazwą jaskiniowca, tymczasem jedyny wypadek, w którym było naprawdę stosowne i rozsądne mówić o nim jako o jaskiniowcu, został raczej zaniedbany. Ludzie używali tego chwytnej terminu na tysiące chwiejnych sposobów. Ale nigdy nie poszukali w swym własnym określeniu tego, czego naprawdę mogli się z niego nauczyć. Rzeczywiście, ludzie interesowali się wszystkim, co dotyczy jaskiniowego człowieka, z wyjątkiem tego, co on robił w jaskini. Otóż jest przypadkowo pewne istotne świadectwo w tej sprawie. Jest ono dość szczupłe, jak wszystkie przedhistoryczne świadectwa. Ale dotyczy prawdziwego jaskiniowca i jego jaskini, a nie powieściowego jaskiniowca z maczugą. I będzie rzeczą cenną dla naszego zmysłu rzeczywistości rozważyć po prostu, czym jest to prawdziwe świadectwo i nie wychodzić poza nie. W jaskini znaleziono wcale nie maczugę, tę straszliwą krwawą maczugę wyszczerbioną na wszystkich kobiecych głowach, które rozstrzaskała. Jaskinia nie była komnatą Sinobrodęgo wypełnioną szkieletami zamordowanych żon. Nie była wypełniona kobiecymi czaszkami ustawionymi w szeregi i polupany, mi jak jajka. Znaleziono tam natomiast coś zupełnie niezwiązanego, w ten czy inny sposób, z tymi wszystkimi nowoczesnymi powiedzeniami, filozoficznymi wnioskami i literackimi pogłoskami, które gmatwają nam całą sprawę. Jeśli chcemy zobaczyć ten autentyczny przebieg zarania dziejów świata takim, jakim on naprawdę jest — to będzie o wiele lepiej ująć nawet samą historię jego od krycia na podobieństwo jednej z takich legend o kraju poranka. Byłoby daleko lepiej opowiedzieć o tym, co naprawdę znaleziono, w sposób tak prosty, jak się opowiada o bohaterach znajdujących Złote Runo albo o Ogrodach Hesperyd, gdybyśmy tylko mogli tak umknąć z mgły spornych teorii do jasnych barw i wyraźnie zarysowanych konturów takiego światu. Dawni poeci epicki nie umieli przynajmniej mówić o powieści, być może długie, ale nigdy nie zagmatwane, nigdy nie wykręcone ze swego własnego kształtu po to, by pasowały do teorii i filozofii wynalezionych o całe wieki później.

Dobrze by było, gdyby nowocześni badacze potrafili opisywać swoje odkrycia prostym narracyjnym stylem najdawniejszych podróżników, bez tych długich aluzji, które są pełne nieuzasadnionych wniosków i sugestii. Wtedy moglibyśmy uświadomić sobie dokładnie, co rzeczywiście wiemy o człowieku jaskiniowym, albo przynajmniej o jaskini.

Pewnego dnia ksiądz i chłopiec weszli do zagłębienia we wzgórzu

i przeszli do jakiegoś podziemnego tunelu, który wiodł do labiryntu niedostępnych i ukrytych korytarzy skalnych. Czołgali się przez rozpadliny, które zdawały się prawie niemożliwe do przebycia, pełzali przez tunele, które mogłyby być drogami kretów, spuszczały się w przepaście beznaście jaś studnie. Zdawało się, że zagrzebują się sami żywcem siedemkroć bardziej, niż potrzeba by stracić nadzieję zmartwychwstania. To zwykła rzecz we wszystkich takich odważnych wyprawach odkrywczych; ale potrzeba tu kogoś, kto potrafi postawić takie opowieści w pierwotnym świetle, w którym one nie są rzeczą zwykłą. Jest na przykład coś dziwnie symbolicznego w tym przypadku, że pierwszymi podróżnikami do tego zatopionego świata byli kapłan i dziecko, postacie ze starożytności i z młodości świata. Ale tu chodzi nawet więcej o symbolizm dziecka niż o symbolizm kapłana. Nikomu, kto tylko pamięta swoje chłopięctwo, nie potrzeba mówić, czym byłoby to dla chłopca, gdyby mógł zejść, niby jaka postać z bajki, pod dach korzeni wszystkich drzew i docierać coraz głębiej, aż by dosięgnął tego, co W. Morris nazwał samymi korzeniami gór. Wyobraźcie sobie kogoś, kto mając prosty i nieskazony realizm będący udziałem nie winności, idzie w tę podróż aż do końca, nie dla zdobycia materiałów do swoich wywodów w jakiejś mglistej dyspacie, ale po prostu po to, by coś zobaczyć. I oto zobaczył on wreszcie jaskinię tak odległą od światła dziennego, że mogłaby być ową legendarną jaskinią, która leżała pod dnem morza. Ta ukryta komnata skalna, oświetlona po długiej nocy niezliczonych wieków, odsoniła na swych ścianach wielkie i rozciągnięte zarysy urozmaicone barwami. Kiedy nasi odkrywcy zaczęli śledzić te linie, rozpoznali, poprzez ogromną pustkę wieków, ruchy ludzkiej ręki. Były to rysunki albo malowidła zwierząt: a były one wyrysowane lub wymalowane nie tylko przez człowieka, ale przez artystę. Pod prymitywnymi zarysami ukazywały one to zamiłowanie do długiej, zamasyzkiej albo falistej linii, znane każdemu człowiekowi, który kiedykolwiek rysował albo próbował rysować, i co do którego artysta nie da się zbić z tropu uczonemu. Te linie ukazały szukającego i śmiałego ducha artysty, ducha, który nie omija trudnych rzeczy, ale stawia im czoło; tak na przykład ten rysownik przedstawił jelenia w momencie, gdy odwraca on głowę w tył, w kierunku ogona, w pozycji, którą znamy dość dobrze u konia. Otóż jest wielu nowoczesnych malarzy, którzy mogliby postawić sobie za zadanie przedstawić to samo. W tym i dwudziestu innych szczegółach widzimy jasno, że ten pierwotny artysta obserwował zwierzęta z pewnym zainteresowaniem, prawdopodobnie też z pewną przyjemnością. W tym sensie można by sądzić, że był on nie tylko artystą, ale również naturalistą; takim naturalistą, który jest naprawdę naturalny.

Nie potrzeba dodawać, a chyba tylko na marginesie, że w atmosferze tej jaskini nie ma nic takiego, co by mogło sugerować zimną i ponurą atmosferę owej dziennikarskiej jaskini wiatrów, które wieją i ryczą dokoła nas tysiącami ech mówiących o jaskiniowym człowieku. O ile w ogóle można mieć jakiś pogląd na ludzki charakter w oparciu o takie ślady przeszłości, to ta ludzka postać jest zupełnie ludzka, a nawet bardziej ludzka. Z pewnością nie jest ona ideałem postaci nieludzkiej,

podobnym do abstrakcji stworzonej przez popularną naukę. Kiedy powieściopisarze, wychowawcy i psychologowie wszelkiego rodzaju mówią o człowieku jaskiniowym, nigdy nie ujmują go w związku z czymkolwiek, co naprawdę jest w jaskini. Kiedy autor realistycznej powieści erotycznej pisze: „Czerwone iskry wiorowały w mózgu Dagmar'a, Doubledick'a: czuł, jak budzi się w nim namiętność jaskiniowca”, — to czytelnik tej powieści byłby bardzo rozczarowany, gdyby Dagmar po prostu wstał i zaczął rysować wielkie wizerunki krów na ścianie salonu. Kiedy psychoanalitik pisze do pacjenta: „Ukryte instynkty jaskiniowca popychają pa na niewątpliwie ku zaspokojeniu gwałtownego impulsu” — to jemu nie chodzi o impuls skłaniający do malowania farbami albo do czynienia skrupulatnych studiów nad tym, jak bydłatka pochyla głowę, gdy się pasą. A jednak my wiemy z całą pewnością, że człowiek jaskiniowy robił te łagodne i niewinne rzeczy, i nie mamy najmniejszej podstawy do przypuszczania, że robił którąkolwiek z tamtych dzikich i gwałtownych rzeczy. Innymi słowy, taki jaskiniowiec, jakiego zwykle się nam przedstawia, jest po prostu mitem, a raczej poplątanym wymysłem, bo w mieście jest przynajmniej imaginacyjny zarys prawdy. Wszystko, co się popolicie o tym mówi, jest po prostu pomieszaniem i nieporozumieniem, nie opartym na żadnej naukowej podstawie i wysuniętym tylko jako wytłumaczenie dla bardzo nowoczesnego rodzaju anarchii. Jeżeli mężczyzna chce bić kobietę, to z pewnością może stać się łotrem bez przemiany w jaskiniowca, o którym nie wiemy prawie nic poza tym, co możemy poznać z kilku niewinnych i miłych obrazów na ścianie.

Ale nie o to tu chodzi, gdy mówię o obrazach i nie taki morał chcę z tego wyciągnąć. Chodzi o coś o wiele większego i prostszego, tak wielkiego i prostego, że po raz pierwszy określone będzie brzmiało trochę dziecinnie. I rzeczywiście, jest to w najwyższym sensie dziecięce; dlatego właśnie w tej apologii obejrzałem to — w pewnym sensie — oczyma dziecka. Jest to najpotężniejszy ze wszystkich faktów, które chłopiec naprawdę znalazł w jaskini, i jest to może zbyt wielkie, by je dojrzeć. Jeżeli chłopiec należał do owczarni tego kapłana, to można przypuścić, że był wychowany w cnocie zdrowego rozsądku; tego zdrowego rozsądku, który często otrzymujemy w formie tradycji. W tym wypadku rozpoznalby po prostu, że dzieło prymitywnego człowieka było dziełem człowieka, interesującym, ale bynajmniej nie nieprawdopodobnym w swoim prymitywizmie. Zobaczyłby to, co było tam do zobaczenia, i żaden ewolucyjny zapal ani modna spekulacja nie zmusiłyby go do zobaczenia tego, czego tam nie było. Gdyby słyisał o takich rzeczach, to by przyznał, oczywiście, że te domysły mogłyby być słuszne i są możliwe do pogodzenia z istotnymi faktami. Artysta mógł mieć jeszcze drugą stronę swego charakteru obok tej jedynej, której świadectwo zostawił w dziełach swojej sztuki. Pierwotny człowiek mógł znajdować przyjemność w biciu kobiet, tak samo jak w rysowaniu zwierząt; my możemy tylko stwierdzić, że rysunki świadczą o drugim, ale nie o pierwszym. Być może, że kiedy jaskiniowiec kończył maltretowanie swojej matki albo żony — zaraz potem z przyjemnością słuchał szmeru strumyka, a nawet obserwował jelenia, które przychodziły

pić wodę ze strumienia. Te rzeczy nie są niemożliwe, ale nie wiążą się ze sobą. Zdrowy rozsądek dziecka potrafiłby ograniczyć się do wydobycia z faktów tego, o czym one naprawdę pouczają; a obrazy w jaskini to prawie wszystko, co tam w ogóle jest. Wobec zasięgu tego świadectwa dziecko miałoby zupełną słuszność przypuszczając, że człowiek przedstawił zwierzęta na skale za pomocą czerwonej ochry z tego samego powodu, jak i ono samo próbowało rysować zwierzęta węglem drzewnym i czerwoną kredą. Tamten człowiek wyrysował jelenia, tak jak dziecko rysowało konia: — bo to było zabawne.

Tamten człowiek rysował jelenia z odwróconą głową, tak jak dziecko rysowało świnkę z zamkniętymi oczyma: — bo to było trudne. To dziecko i tamten człowiek — oboje będąc ludźmi, złączyłby się przez braterstwo ludzkie, a braterstwo ludzkie jest nawet jeszcze szlachetniejsze, kiedy pokonuje przepaść wieków, niż kiedy pokonuje tylko otchłań klasy. Ale w żadnym razie nie ujrzałoby ono potwierdzenia surowego ewolucjonizmu, bo takiego świadectwa tam nie było. Gdyby mu ktoś powiedział, że wszystkie te obrazy były narysowane przez św. Franciszka z Asyżu pod wpływem czystej i świętej miłości do zwierząt, to nie znalazłoby się w jaskini nic, co by mogło temu zaprzeczyć.

Rzeczywiście, rozmawiałem raz z kobietą, która pół żartem podsunęła myśl, że jaskinia była „żłobkiem”, w którym trzymano dzieci dla zapewnienia im szczególnego bezpieczeństwa, i że zwierzęta były wymalowane na ścianach, aby je zabawiać, tak samo jak rysunki słoni i żyraf zdobią ściany nowoczesnej szkółki. I chociaż to był tylko żart, zwraca on jednak naszą czujność na przeciwnego rodzaju wnioski, które zbyt pochopnie wyciągamy. Obrazy nie dowodzą nawet tego, że ludzie jaskiniowi mieszkali w jaskiniach, tak samo jak odkrycie podziemnej winiarni w Balham (długo po zniweczeniu tego przedmieścia przez ludzki albo Boski gniew) nie dowodziłoby, że ludzie z czasów królowej Wiktorii mieszkali wyłącznie pod ziemią.

Jaskinia mogła mieć jakieś specjalne przeznaczenie jako piwnica, mogła być kaplicą religijną, albo schronieniem w razie wojny, albo miejscem zebrania jakiegoś tajnego stowarzyszenia, albo Bóg wie czym. Ale jest faktem, że jej artystyczna dekoracja ma w sobie o wiele więcej z atmosfery dziecięcej bawialni niż z tych wszystkich majaków anarchicznej furii i przerażenia.

Przedstawiłem dziecko, jak stało w jaskini; i łatwo wyobrazić sobie jakiegokolwiek dziecko, współczesne czy nieskończenie dawne, podnoszące rączkę, jakby chciało pogłaskać zwierzęta wymalowane na ścianie. W tym gęście kryje się, jak zobaczymy potem, zapowiedź innej jaskini i innego dziecka.

Ale przypuśćmy, że chłopca uczył nie kapłan, ale profesor, jeden z tych profesorów, którzy upraszają stosunek ludzi do zwierząt sprowadzając go do czysto ewolucjonistycznej przemiany. Przypuśćmy, że ten chłopiec z taką samą szczerością i prostotą czuł się po prostu jak Mowgli biegający za stadem zwierząt i różniący się od reszty stada tylko względnie i świeżo odmianą. Co byłoby dla niego najprostszą lekcją wydobytą z tej dziwnej kamiennej książki z obrazkami? Na ostatku powróciłoby do tego samego: że kopał on bardzo głęboko (Dokończenie na str. 4-ej)

Johann W. v. Goethe

Przetłumaczył: M. A. Wasilewski

Pieśń Majowa

(Mailed)

Jaki wspaniały
Zda mi się świat!
Jak świeci słońce,
Śmieje się kwiat!

Z każdej gałązki
Cudowna woń,
Tysiące głosów
Uderza w skroń

I w każdej piersi
Radość i śpiew.
O ziemio, słońce!
Jak szczęsny zew!

I miłość, miłość!
Złocisty śmiech,
Jak rannych chmurek
I niebios dech.

Ty błogosławisz
Świeżościom ról
I zapach kwiatów
Bije od pól.

O dziewczę, dziewczę,
Jak kocham cię!
Błyszczą twe oczy,
Ty kochasz mnie!

Tak jak skowronek
Ukochał dzień,
Przestwór i kwiaty
Wśród swoich pień,

Tak kocham ciebie
Gorącą krwią.
Młodość mi dajesz
I rozkosz swą

Do nowych pieśni,
Tanów, jak w śnie.
Bądź tak szczęśliwa
Jak kochasz mnie!

T R A M W A J E

Była dokładnie godzina czwarta minut czterdzieści trzy, gdy Roman stanął na przystanku, w pełni już teraz świadomy, że decyzja jaką ma za chwilę wykonać, przyniesie mu może śmierć o tyle tragiczną, o ile nikomu i niczemu nie potrzebna.

Zrozumienie tej możliwości nurkowało w nim wprawdzie już od dziesięciu długich, nabrzmiatych uderzeń minut, kiedy w mieszkaniu siostry otrzymał od Marii ten alarmujący telefon. Lecz była to jeszcze wówczas zupełnie naturalna i obiektywna ocena szans połączenia z bolesnym choć wytłumaczonym w takich wypadkach niepokojem. Dopiero teraz, gdy stojąc prawie samotnie przy czerwonym słupie przystanku na rogu Koszykowej spojrzął po raz któryś w denerwująco spokojną dal Marszałkowskiej ku Saskiemu Ogrodowi, wiedząc że tam, gdzie w parnym od historii powietrzu tego sierpniowego popołudnia szarzały kontury ostatnich domów, czeka go Maria, poczuł, że decyzja jaką teraz ma powziąć, nie jest taka prosta, jak przypuszczał jeszcze przed chwilą. I właśnie wtedy, gdy myślał przywarł do Marii, która została jeszcze niedawno ufną i nieświadomą w rozłąki, — tak, wtedy to właśnie usłyszał nie wymówiony, ale jasno wyraźny głos swego przeznaczenia. „Ty tam nie wrócisz już nigdy — jeśli nie wrócisz natychmiast”.

Roman ugiął się pod tym głosem bezwolny, znękany niczym zwierzę w potrzasku. Całą istotą swej duszy pojął teraz, jak bardzo był jeszcze szczęśliwy przed chwilą, dokąd widmo jego losu stało przed nim tajemne i niepoznane. — Ile by dał obecnie za to, aby dopiero co całym życiem przeżył ta sekunda mogła ponownie nie istnieć lub odpłynąć w bezmiar czasu, jak odpływa fala przybrzeża na w morskiej głębinie.

Niestety, było to tylko złudzenie. Pragnąc uciec od niego, jak i uciec od widoku domu, w którym zawarło się jego szczęście, odwrócił głowę. Prawda, jaką wyczytał w lśniących od słońca dachach pierwszych kamienic „niemieckie-go” Mokotowa, dopowiedziała mu resztę. W dusznym powietrzu od tych domów zawsze bliskich, jak twarze przyjaciół, od wież strzelistych kościoła, w którym często szukał ukojenia, nagle powiało groza. Stały się teraz one inne, nienaturalnie obce, niby pierwszy raz widziane, lecz kryły w sobie przedziwną pokusę patrzenia, ciągnęły i straszły jednocześnie. Tak, teraz już Roman nie miał wątpliwości, — wiedział, że ta odległa a tak znajoma tyle razy przebywana droga, o ile się stanie drogą obowiązku, upostaciuje wyrok jego życia, — będzie w nim szlakiem ostatnim.

„Droga obowiązku czy samobójstwa?” zapytał gorączkowo, spoglądając na większą wskazówkę zegarka, która zatrzymała się teraz na dziewiętnaście. Od strony Alej nie widać było ani jednego tramwaju. „Przecież nie zdążę, przecież to niemożliwe, by przebiec tę odległość z Koszykowej na Szustra, by zdążyć na czas do oddziału, który w międzyczasie ruszy do na tarcia i tak beże mnie” mówił do siebie bezładnie i półprzytomnie. „A rozkaz...?”

Tak, Roman chciał go wykonać, nawet teraz, nawet wbrew wszelkim zakłębom utajonych przeżyć, ale czy będzie w stanie uczynić to obecnie, gdy na kwadrans

przed walką zdecyduje się na trzy kilometrowy prawie bieg? A gdyby nawet już w tej chwili nadjechał upragniony tramwaj, czy zdążyłby dowiedzieć go na czas do oddziału? A jeśli wybuch zastanie go jeszcze w dzielnicy Gestapo, czy wolno poświęcać mu życie tym razem już nie dla Polski, lecz dla fikcji urojonego honoru, od których roją się tak namiętnie i tak miłośnie potępiane przez niezłazie tego narodu.

„Wrócić, więc nie iść? Że też nie mogli mnie wcześniej zawiadomić”, krzyknął półgłosem.

Dom za Alejami kusił bezpieczną bliskością Marii. „Wiem, co zrobię — zdecydował nagle — zdam się na rozrządzenie losu. Wsiadam w pierwszy tramwaj bez względu na kierunek, niech on decyduje” postanowił. „Czekam na tramwaj, czekam na tramwaj, czekam na tramwaj” powtarzał teraz uporczywie umacniając się w dopiero co zmienionym zamierzeniu. Postanowienie to przyniosło mu nieznaczny ulgę. „O ile szczęśliwi byli od nas ludzie pierwotni, mogąc w każdej trudnej sytuacji życiowej ślepo zaufać złudnym zjawiskom na tury i przeżyć własne życie nie zaznawszy goryczy bezustannie wyimaginowanej odpowiedzialności. Ja zaś uczyszam własne sumienie, och nie, ludzę się tylko, wymyślając łatwe preteksty dla własnego tchórzostwa — to nie tchórzostwo lecz rozsądek, odpowiedział niedowierzającym głosem wewnętrzny, — „Logika, realne ujmowanie rzeczywistości”.

„Dość tego, nie myślę więcej, czekam na tramwaj, czekam na tramwaj, czekam na tramwaj”, mówił do siebie. Ogarnęła go teraz gorączka oczekiwania równie dręcząca jak zduszone przed chwilą wysiłkiem woli szydercze podszept. Zapalając nerwowo papierosa, pojął obecnie całą paradoksalność sytuacji, jaką sam sobie narzucił w czasie tych kilku nieznośnie długich minut.

„Najpierw będąc zdecydowany nie miałem tramwaju, przed chwilą zdecydowałem się wcale nie decydować, teraz zaś, czując to wyraźnie, że kiedy każda decyzja przyniosłaby natychmiastową ulgę, od rzucam ją jak niezaskuszony podarek losu, ba, więcej, jak jego sprzeniewierzenie”, myślał o sobie z ironią. „Komiczne, ale chcąc na reszcie ostatecznego rozstrzygnięcia, które wyrwie mnie z dobrowolnej matni tego fatalnego przystanku, czuję, że nie mam już siły, że spaliłem w sobie wewnętrzną zdolność do samostanowienia!”

Jest zwiotczały, bezwładny. Te go chwila — chwila chętności najbardziej nie lubił Roman u siebie. Potrzebował w takich razach jakiegoś bodźca zewnętrznego, jakiegoś mocnego przeżycia sztucznego czy naturalnego, któreby myślom przywróciło zdolność precyzji. I to było w tym wszystkim najdziwniejsze. Bo czyż nie jest zastanawiające, że znajdując się tutaj i przeżywając najtrudniejsze z dotychczasowych, choć tak pozornie niedorzecznych perypetii własnej duszy, wywołane właśnie zapowiedzią rozpoczynającego się dramatu, wywołane nie historią, eposem, który będą opiewać poeci — on, Roman Korf, sam kompozytor i artysta, stoi tutaj zagubiony i bezradny i użala się na brak zewnętrznej podniety. „Zamiast rozwiązywać niepotrzebne komplikacje, lepiej spojrz na ulicę” — doradził mu głos rozsądku.

„O, przypatrz się np. tej brunetce w zielonej sukni, która stoi obok odwrócona plecami, — przecież tak lubisz obserwować ludzi”. W tej chwili jakby pod obuchem sugestywnego spojrzenia Kobieta odwróciła się. Roman wpił się na tarczywie oczami w jej spojrzenie, lecz natrafiwszy na bezbarwną pospolitą twarz nieznajomej, wzrok jego ześlizgnął się z widocznym rozczarowaniem na jej ręce, tułów, nogi, ubranie. Zniechęcony rozpoznaniem przeniósł się szybko z nieznajomej na starszego jegomościa o wyglądzie zawodowego emeryta, który z widoczną niecierpliwością oczekiwał tramwaju, co chwila wychodząc na jezdnię. Ale i ta lustracja trwała krótko. „Nie lubię szarzyzny, twarzy bezimiennych, pospolitych. Och, jakie on ma wodniste oczy”, pomyślał spoglądając machinalnie na zegarek. Była za dziesięć minut piąta. Roman nerwowo wybiegł na środek ulicy, oczami szukając tramwaju to z jednej to z drugiej strony.

Na gładkiej tafli asfaltu, gdzieś koło Alej, wyłoniło się wreszcie czerwone pudło wagonu. „No, mam w końcu bodziec zewnętrzny i widomą odpowiedź losu. Czy daleko tylko zajadę”? Rozigraną wyobraźnią widział już nadjeżdżający tramwaj, gdzieś na odcinku Litewskiej i Unii zatrzymywany przez oddział czarnych SS-manów i siebie wśród pasażerów pędzonych przez eskortę na Szucha. Otrząsnął się odpędzając natrętne wizje. „Przecież jestem mężczyzną do cholery. Jadę tym tramwajem” powiedział prawie głośno, wybiegając raz jeszcze na asfalt. Wóz zbliżał się szybko, dźwięcząc przeciągle na szynach rozklekotanymi cześciami.

Nagle wzrok Romana, typowy wzrok krótkowidza, błędzący przed chwilą jakby w czułym po żegnaniu po pstrokających sylwetkach pobliskich domów, po znajomych wystawach, tu i ówdzie poświadczanych jeszcze sklepów, padł na białą tarczę nadjeżdżającego wagonu.

Było to „O” — tramwaj „Nur für Deutsche”. Przepeniło go uczucie dziecinnej radości. A zatem jeszcze nie — powiedział z nadzieją. Jeszcze ma szansę tym większą, że za tym tramwajem nie idzie żaden następny, a od Zbawiciela może nadjechać każdej chwili inny, bezpieczny, do domu.

Dalsze rozmyślania przerwał mu daleki, piskliwy zgrzyt kolebiącego się w szynach wagonu, który nadjeżdżał ulicą Śniadeckich ku Marszałkowskiej. Wielkimi skokami znalazł się Roman na rogu Śniadeckich. 18-ka zbliżała się do przystanku. Na pomoście obok motorniczego stało dwóch żołnierzy niemieckich i jeden cywil, poza tym wóz był prawie pusty. „No, nareszcie — odetchnął z ulgą — tym razem mam już widomy znak”. A potem biegł myśłami dalej, „jeśli powstanie przetrwa kryzys pierwszych najtrudniejszych godzin, to zobaczymy... No, to się przyłączę” — poprawił się od razu z zażenowaniem. Ogarnęło go uczucie prawdziwej beztroski. Teraz już może jechać do Marii.

Myśłami przenosi się na jasną, czerwonym chodnikiem obitą tafelę schodów, po której biegnie, bardziej niż zwykle stęskniony, niecierpliwy. Staje przed drzwiami. Drżące palce szukają dzwonka. Trzy krótkie, przerywające ciszę radosne warknięcia. Nieoczekiwanie długie milczenie. Widać, że

dom nie jest przygotowany na ten sygnał, umówiony, tajemny — nie dowierza mu, czeka. Nowy terkot. Wreszcie z dala szelest kroków Drobnych, szybkich, kochanych, jej... Obraz jest tak plastyczny, wyobraźnia tak sugestywna, że Roman czuje się wolny od wszelkich decyzji. Droga do domu nie grozi odcięciem, z każdej bramy nie czyha zasadzka, jak tam, za kościołem.

Wychodząc naprzeciwko wozu usłyszał za sobą szybkie kroki. Obok jakieś dwie starsze panie schodziły z chodnika na jezdnię, widać, szykowały się do wsiadania.

Nagle oczy Romana zawadziły spojrzeniem o tarczę wagonu. Czarna cyfra 18-ki na białej okrągłej blasze wozu przypomniła mu całą historię ostatnich minut. Przy pomniła mu o tym, że właśnie inna poprzednią 18-ką przyjechał przed kwadrans od siostry, u której zastał ów nieszczyśny telefon. Tak, to ten telefon sprawił, że Roman wysiadł wówczas z tramwaju, że stanął pod czerwonym słupem przystanku, nie po to przecież, by jechać do Marii, lecz by...

O, jak zazdrościł sobie, tej siły decyzji, jaką wtedy jeszcze tak niedawno posiadał. I w tym momencie uświadomił sobie ponownie wagę otrzymanego rozkazu. Nie, tym tramwajem nie może wracać. Każdym innym tak. Jeżeli wysiadł z tamtej 18-ki, nie może wsiąść do tej.

„Tak. Ale przecież decydującym dla tej wyimaginowanej gry jaką ze sobą, na swój wewnętrzny użytek prowadzę, jest wybór kierunku, a nie numer tramwaju, nie głupia, śmieszna etykieta” — podszeptował rozsądek.

Roman zachęcony ostatnim pretekstem podszedł niepewnie do tylnej platformy. Wóz stanął. Z czerwonego pudła wagonu wysypało się kilka osób. Dwie starsze panie wdrapywały się teraz na stopień z wyraźnym wysiłkiem. Jakaś młoda kobieta podnosząc wysoko nogę w zniszczonej pończosze, stanęła na stopniu. Tuż za nią starszy, o nieprzyjemnej fizjonomii jegomość, brutalnym ruchem łokcia pchnął ją w bok, tak, że utraciwszy równowagę kobieta poddała się ku przodowi. Jej druga noga znalazła się na platformie, zataczając gwałtownie półkole. Konduktor w wytartym mundurze, widząc, że oprócz Romana wszyscy już wsiadli, zadzwonił. Tramwaj ruszył.

Czarna cyfra 18-ki na białej blasze wagonu to chichotała szyderstwem, to nęciła pokusą. Roman puścił zimny metal rączki i szedł goniony pytająco — ciekawym spojrzeniem konduktora, za wolno tocącym się na zakręcie wagonem. Szedł niezgrabnie, odrętwiały, nijaki. Gdy znalazł się ponownie na Marszałkowskiej, ujrzał nadchodzący z Placu Zbawiciela tramwaj. Od strony Alej Jerolimskich nie było widać w dalszym ciągu żadnego wozu. Tylko w szalonym tempie pędziły dwa niemieckie polowe samochody. W tym momencie padł strzał. Jeden, potem drugi, trzeci. Suche, rewolwerowe, pojedyncze trzaski. Drgnął zaciskając kurczowo rękę. „Gdzie to może być?” przebiegło mu przez głowę. — „Koszykowa od Mokotowskiej. Więc to już”.

Ponownie spojrzął na zegarek. Była za siedem minut piąta. Nie, to niemożliwe, to chyba nieprawda, to jeszcze nie teraz — wołał

do siebie prosząco — przecież jego zegarek dobrze chodzi, według radia, a oni tam, w dowództwie muszą zaczynać punktualnie i jednocześnie, — usprawiedliwiał komendę, siebie, zegarek, radio niemieckie i wszystko, co mogłoby przemawiać za tym, że to jeszcze nie jest to, czego się bał, czego chciał za wszelką cenę uniknąć, lub odłożyć na później — w co nie wierzył. Padł jeszcze jeden strzał, potem drugi. Gwałtowny skurcz schwycił go za gardło. Tyśiące buntowniczych myśli wrogich wojnie, Niemcom, powstaniu, AK rzuciło mu się razem z gorącą falą krwi do głowy.

I znowu tramwaj stawał powoli, zgrzytając korbą hamulców. Auta polowe z wystawionymi na ulicę erkaemami warknęły obok niego pozostawiając przed oczami mgiełkę kurzu, a w nozdrzach zapach mgnięcia spod głębokich, płaskich hełmów spojrzenia twarde, bezduszne. „Ci muszą już wiedzieć o wszystkim, jadą teraz z pewnością do Gestapo z meldunkami, a tam na Litewskiej, na Unii już zapewne wszystko przygotowali z właściwą sobie organizacją. Tak. Może już czekaemy stojąc na ulicach i ja bym miał tam...”

Wzdrygnął się, tym pewniej stając na stopień. Przed sobą widział ciemne plecy jakiegoś pana i szary kostium korpulentnej przykuliwie umalowanej kobiety. „upcowa” — ocenił nieodłączny z wycieczek klasyfikację ludzką — stanął na pomoście, zaglądając przez szpa do wnętrza wagonu. Na ławkach siedziało kilka osób. W twarzach tych ludzi nie było widać żadnego niepokoju, żadnego podniecenia, — przeczuć. Doskonała w swej nieczułości miernota, która swe życie przeżywa bez problemów, bez historii, bez więzi społecznej.

„A ja w czym jestem lepszy ze swoimi napuszonymi ideałami?” zachichotała w nim czuła jak zwykle bezlitosna przekora. „Czy ten balast pozornych komplikacji nie służy czemu innemu niż mojej wygodzie, mojemu tchórzostwu, czy poza różnicą pochodzenia i wykształcenia i skłonnością do perypetii psychicznych dzieli mnie coś od tych, których tak łatwo po tępiam? Od tej damulki ze sklepu, od tamtego emeryta z 18-ki? Prawda, jestem młodszy” — zreflektował się natychmiast, „więc jeszcze mam inne potrzeby, ale jak będę w ich wieku, to... co?” Znów strzały? Zaczyna się? Nie, jeszcze pięć minut, czy to nasi chłopcy strzelają? Chłopcy. — Roman słyszał to słowo, ale nigdy się nad nim nie zastanawiał, teraz już wie, to młodzież, „co znaczy młodzież? — prawda, to ludzie bez komplikacji, ci, co nie znają strachu, ci, co nie spekulują jak ja starym rozsądkiem, ci, co nie bawią się w totalizatora tramwajowego. Idą, po prostu idą pewni na śmierć, kiedy rozkaz tego zażąda. Oni — tam, gdzie te strzały, twoi koledzy na Mokotowie, — słyszysz, słyszysz — hu czają koła tramwaju.”

Roman zrozumiał ten utajony szept. „Proszę za bilety” usłyszał w tym momencie. Spojrzął na konduktora, który wyciągnął rękę w jego kierunku. „Ja nie, ja wysiadam już teraz” bąknął spuszczać oczy niepewnie, jakby się bał pogardliwego uśmiechu tramwajarza. „Jak się jedzie, to trzeba płacić, a jak się nie ma czym, to (Dokończenie na str. 7)

G. K. Chesterton

tłumaczył: Zygmunt Kubiak

CZŁOWIEK W JASKINI

(Dokończenie ze str. 2-giej)

I znalazł miejsce, gdzie człowiek wyrysował obraz renifera; ale musiałby kopać o wiele głębiej, zanim by znalazł miejsce, gdzie renifer wyrysował obraz człowieka. To brzmi jak truizm, ale w tym połączeniu jest to istotnie wstrząsająca prawda. Mógłby on zstąpić do niepojętych głębin, mógłby do trzeciej do zatopionych kontynentów tak obcych jak zatopione gwiazdy; mógłby znaleźć się wewnątrz świata tak daleko od ludzi jak druga strona księżyca; mógłby w tych zimnych otchłaniach lub kolosalnych piętach kamieni, wyrzeźbionych w mętne hieroglify skamieniałości, ujrzyć ruiny upadłych dynastii i biologicznego życia, podobne raczej do ruin kolejnych procesów stworzenia i oddzielnych światów, niż do etapów historii jednego świata. Znalazłby ślady potworów rozwijających się na ślepo w kierunkach będących poza całym naszym wyobrażeniem o rybie i ptaku; macających, chwytających i dotykających swoje życie każdym nadmiernym wydłużeniem rogu, języka i czulka, wyrastających na las fantastycznych karykatur kleszczy, pletwy i palca. Ale nigdzie nie znalazłby ani jednego palca, który poprowadził choćby jedną znaczącą linię na piasku; nigdzie ani jednego pazura, który choćby zaczął wydrapywać mglistą sugestią kształtu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ta rzecz byłaby tak samo nie do pomyślenia wśród tych wszystkich kosmicznych odmian zapomnianych eonów, jak i teraz wśród zwierząt i ptaków przed naszymi oczyma. Dziecko ani trochę więcej nie spodziewałoby się to zobaczyć, niż ujrzeć jak kot wyskrobuje na ścianie złośliwą karykaturę psa. Dziecięcy zdrowy rozsądek ustrzegłby najbardziej ewolucjonistyczne nadziei na ujrzenie czegoś w tym rodzaju, czegoś takiego, co właśnie ujrzał w śladach tych surowych i dopiero ukształtowanych przodków ludzkości. Musi to z pewnością zastanowić go jako rzecz szczególną, że ludzie tak dalecy od niego są jednak tak bliscy, a zwierzęta tak bliskie mu są tak dalekie.

W jego prostocie musi się to mu wydać co najmniej dziwne, że nie mógł znaleźć żadnego śladu początku jakichkolwiek sztuk wśród zwierząt. Oto najprostsza lekcja, której można się nauczyć w jaskini barwnych obrazów; tylko że ona jest zbyt prosta, by się jej nauczyć. Jest to prosta prawda, że człowiek naprawdę różni się od zwierząt, rodzajem, a nie stopniem; a dowodem jest właśnie to, że wygląda na truizm mówić, że najbardziej pierwotny człowiek rysował wizerunek małpy, a z drugiej strony wygląda na żart mówić, że najnieinteligentniejsza małpa rysowała wizerunek człowieka.

Taka jest ta prosta prawda, od której rzeczywiście powinno się zacząć opowieść o początkach. Ewolucjonista stoi w wymalowanej jaskini ze wzrokiem wlepionym w rzeczy, które są zbyt wielkie, aby je dojrzeć, i zbyt proste, aby je zrozumieć. Usiłuje wyprowadzić wszelkie inne pośrednie i wątpliwe rzeczy ze szczegółów tych obrazów, ponieważ nie może dojrzeć podstawowego znaczenia całości; wątpliwe teoretyczne dedukcje o nieistnieniu religii albo o istnieniu zabobonu; o władzy szczerpowej, o polowaniu, o ofiarach z ludzi i Bóg wie o czym. W

następnym rozdziale spróbuję prześledzić trochę szczegółowiej to tak bardzo dyskutowane zagadnienie przedhistorycznych początków ludzkich idei, a zwłaszcza idei religijnych. Tu biorę ten jeden przypadek jaskini jako pewien symbol prostszej prawdy, od której opowieść powinna się zacząć. Gdy wszystko już się rzekło, zasadniczym faktem, o którym świadczą ślady pierwotnych ludzi, pozostaje to, że pierwotny człowiek umiał rysować renifera, a renifer nie umiał. Jeśli ten pierwotny człowiek był tak samo zwierzęciem jak i renifer, to było tym bardziej nadzwyczajne, że potrafił on robić to, czego nie potrafił żadne inne zwierzę. Jeśli był on zwykłym produktem biologicznego rozwoju, jak każde inne zwierzę czy ptak, to jest tym bardziej nadzwyczajne, że był on zupełnie niepodobny do wszystkich innych zwierząt i ptaków. Jako stwór przyrodzony jest on czymś jeszcze bardziej nadprzyrodzonym niż jako stwór nadprzyrodzony.

Rozpocząłem tę opowieść w jaskini, niby w jaskini rozmyślań Platona, ponieważ jest ona jakby modelem pomyłki wszystkich czy sto ewolucjonistycznych wstępów. Jest bezużyteczne rozpoczynać od twierdzenia, że wszystko odbywało się powoli i gładko i było po prostu kwestią rozwoju i stopnia. Małpy nie zaczynały obrazów, które by ludzie kończyły; Pithecanthropus nie rysował renifera źle, podczas gdy Homo Sapiens rysował go dobrze. Wyższe zwierzęta nie rysowały coraz lepszych portretów; pies nie malował lepiej w swoim najlepszym okresie niż w swoim wcześniejszym okresie, gdy był szakalem; dziki koń nie był impresjonistą, a rasowy koń post-impresjonistą. Wszystko, co możemy powiedzieć o tej kwestii odtwarzania rzeczy na wizerunkach albo przedstawiania ich w kształcie, to jest, że w całej na turze jest ona tylko u człowieka i że nie możemy nawet mówić o niej, jeżeli nie traktujemy człowieka jako coś odrębnego od całej na tury. Innymi słowy, każda rozsądna historia musi rozpoczynać się od człowieka jako od człowieka ka, istoty zupełnie odosobnionej. Jak on doszedł do tego, albo jak cokolwiek innego do tego doszło, to kwestia dla teologów, filozofów i naukowców, ale nie dla historyków. Doskonałym świadectwem tego tajemniczego odosobnienia jest sprawa impulsu artystycznego. To stworzenie było naprawdę odmienne od wszystkich innych stworzeń; było bowiem nie tylko stworzeniem, ale również twórcą.

Taką rzecz widzimy tylko u człowieka.

Ale ta prawda jest tak prawdziwa, że nawet w braku jakiegokolwiek wiary religijnej trzeba ją przyjąć w formie jakiejś moralnej lub metafizycznej zasady. W następnym rozdziale zobaczymy, jak ta zasada odnosi się do wszystkich modnych dziś hipotez historycznych i całej etyki ewolucjonistycznej, do początków władzy szczerpowej i wiary mitologicznej.

Ale na wstępie najoczywistszym i najdogodniejszym przykładem jest przypomnienie tego, co człowiek jaskiniowy naprawdę robił w swojej jaskini. Ten przykład świadczy, że tak czy inaczej, coś nowego pojawiło się wśród jaskiniowego snu natury: umysł, który jest jak zwierciadło. Jest on po-

dobny do zwierciadła, bo rzeczywiście polega na odbiciu. Jest podobny do zwierciadła, bo w nim jednym można ujrzeć wszystkie inne kształty niby wizję świetlistych zjaw. A przede wszystkim jest podobny do zwierciadła jako rzecz jedyna w swoim rodzaju. Inne rzeczy mogą być podobne do niego albo podobne do siebie w różny sposób; inne rzeczy mogą przewyższać go lub przewyższać jedna drugą pod różnymi względami; tak samo jak wśród mebli w pokoju stół może być okrągły jak lustro, a szafa może być większa niż lustro. Ale tylko lustro jedyne może je wszystkim w sobie zawrzeć. Człowiek jest mikrokosmem; człowiek jest miarą wszystkich rzeczy; człowiek jest obrazem Boga. Oto jedyne prawdziwe lekcje, jakich można nauczyć się w jaskini, a teraz czas już wyjść z niej na otwartą drogę.

Warto jednak w tym miejscu zsumować raz na zawsze to wszystko, o czym myślimy mówiąc, że człowiek jest jednocześnie odosobnionym wyjątkiem i zwierciadłem i miarą wszystkich rzeczy. Ale aby ujrzeć człowieka takim, jakim jest, trzeba jeszcze raz przyglądać do tej prostoty, która umie się wyzwolić od spleźonych chmur sofistyki. Najprostszą prawdą o człowieku jest to, że jest on bardzo dziwną istotą; wydaje się prawie, że jest cudzoziemcem na ziemi. Przy całym umiarkowaniu, wygląda on jednak z pewnością raczej na kogoś, kto przynosi obce zwyczaje z innego kraju, niż na zwykły wytwór tej ziemi. Ma niezwykle przewagi i niezwykle ułomności. Nie może spać w swojej własnej skórze i nie może ufać swym własnym instyktom. Jest twórcą władającym cudownie palcami, a zarazem jest kaleką. Jego umysł ma takie same wątpliwe swobody i takie same szalone ograniczenia. Jego jedyne wśród wszystkich zwierząt wstrząsać cudowne szaleństwo zwane śmiechem; tak jakby dojrzał w samym kształcie wszechświata jakąś tajemnicę, o której nie wie sam wszechświat. Jedyne wśród zwierząt czuje potrzebę odwracania swych myśli od pierwiastkowych przejawów swej własnej cielesnej natury; ukrywania ich niby w obliczu jakiejś wyższej możliwości, co tworzy tajemnicę wstydlivosti. Niezależnie od tego, czy chwalimy to jako coś wrodzonego człowiekowi, czy zwalczamy jako coś sztucznego w naturze, pozostaje ono w tym samym sensie czymś jedynym. Realizuje się ono przez powszechny instykt zwany religią, a przeciwstawiają się mu pedanci, zwłaszcza nudni pedanci głoszący tzw. proste życie. Najbardziej sofistyczni ze wszystkich sofistów są gimnosophisci.

Nie jest to naturalne patrzeć na człowieka jako na twór naturalny. Nie jest dowodem zdrowego rozsądku nazywać człowieka zwykłym elementem krajobrazu. Nie świadczy o celności spojrzenia widzieć go jako zwierzę. Nie jest to rozsądne. Jest to grzech przeciw światłu; przeciw temu jasnemu światłu proporcji, które jest zasadą wszelkiej rzeczywistości. Jest to rozciąganie punktu, sztuczny wybór jakiegoś światła i cienia, wyciąganie na pierwszy plan mniej ważnych rzeczy, które mogą być przypadkowo zbieżne. To, co rzeczywiście stoi w pełnym świetle słońca i co możemy obej-

rzeć dokładnie ze wszystkich stron, jest zupełnie odmienne. Jest to również zupełnie niezwykle; i im dokładniej patrzymy z różnych stron, tym bardziej wydaje się niezwykle. Z całą pewnością nie jest to coś, co wypływa w naturalny sposób z czegokolwiek innego. Gdybyśmy sobie wyobrazili, że jakaś nieludzka czy nawet bezosobowa inteligencja mogła pojmować od początku ogólną na turę bezludzkiego świata i wiedzieć, że byt przejdzie nieznaną jeszcze ewolucję, to z pewnością w całej tej naturze nie byłoby absolutnie nic takiego, co by mogło przygotować ten obserwujący umysł na tak nienaturalną nowość. Takiemu umysłowi z całą pewnością człowiek nie wydałby się czymś w rodzaju zwierzęcia jednego ze stu innych, które znalazło bogatsze pastwisko, albo jaskółki jednej ze stu innych, która spędza lato pod dziwnym niebem. Nie byłaby to rzecz w tej samej skali, ani nawet w tym samym wymiarze. Można by z taką samą słusnością powiedzieć, że byłaby to rzecz nie z tego samego wszechświata. Byłoby to podobniejsze do widoku krowy jedynej ze stu innych, która nagle przeskoczyła księżyc, albo świni jedynej ze stu innych, która zaczyna latać na skrzydłach. Byłoby to kwestia polegająca nie na tym, że stado krów znajduje swoje własne pastwisko, ale na tym, że one same budują swoje obory; nie na tym, że jedna jaskółka jest na wywczasach, ale na tym, że ona sama stawia sobie letnią wille. Bo nawet ten fakt, że ptaki budują gniazda, jest jedną ze zbieżności, które zaostrzają zdumiewającą różnicę. To właśnie, że ptak zdobywa się na coś takiego, jak zbudowanie gniazda, ale nie idzie ani kroku dalej, dowodzi, że on nie ma rozumu, a człowiek ma rozum; dowodzi tego jeszcze lepiej, niż gdyby ptak niczego w ogóle nie budował.

Gdyby niczego nie budował, można by przypuszczać, że jest on wyznawcą filozofii kwiatyzmu lub buddyzmu, obojętnym na wszystko oprócz duchowego wnętrza. Ale kiedy on buduje tak, jak buduje i jest zadowolony, a nawet śpiewa głośno z zadowolenia, możemy poznać, że rzeczywiście jest jakaś niewidzialna zasłona, niby szyba między nim a nami, okno, o które ptak uderza na próżno. Lecz przypuśćmy, że ten nasz abstrakcyjny obserwator spostrzegł, jak jedna z jaskółek zaczyna budować tak, jak ludzie budują. Przypuśćmy, że nagle pojawia się siedem stylów architektonicznych w budowie gniazda. Ptak starannie wybiera rozwidlone gałązki i ostro zakończoną listki, aby wyrazić strzelistą pobożność gotyku, a zwraca się do szerokich liści i czarnego błota, gdy chce stworzyć ciężkie i ponure kolumny Baala i Astarte; robi ze swego gniazda naprawdę jeden z wiszących ogrodów Babilonu. Tworzy małe gliniane figurki ptaków wstawionych w literaturze i umieszcza je na proździe swego gniazda. Przypuśćmy, że jeden z tysięcy ptaków zaczyna robić jedną z tysięcy rzeczy, które człowiek robił już nawet w zaraniu świata; i możemy być zupełnie pewni, że nasz obserwator nie uważałby takiego ptaka za ewolucyjną wyłącznie odmianę ptasiego rodu; uznałby go naprawdę za straszliwie dziwnego ptaka, może za ptaka złej wróżby, a z pewno-

ścią za wróżbę. Ten ptak dałby znać augurom nie o czymś, co ma się zdarzyć, ale o czymś, co już się zdarzyło. Byłoby to objawienie ducha o nowym wymiarze głębi; takiego jak duch ludzki. Gdyby nie było Boga, żaden inny umysł nie mógłby tego przewidywać.

Otóż z całą pewnością nie ma nawet cienia dowodu, że ta rzecz w ogóle rozwinęła się ewolucyjnie. Nie ma ani śladu dowodu, że ta przemiana nastąpiła powoli, ani nawet, że nastąpiła w sposób naturalny. W sensie ściśle naukowym nie wiemy wcale, ani jak to powstało, ani czy to w ogóle powstało, ani czym to jest. Resztki połamanych kości mogą nasuwać jakiś mglisty zarys rozwoju ludzkiego ciała. Nie ma nic, co by na wet w taki mglisty sposób świadczyło o ewolucji ludzkiego ducha. Nie było go, a potem był; nie wiemy w jakim momencie, albo w jakiej nieskończoności lat. Coś się stało; coś, co ma wszelkie znamiona aktu twórczego poza czasem. A więc nie ma żadnego związku z historią w zwykłym sensie tego słowa. Historyk musi przyjąć to albo coś w tym rodzaju jako stwierdzony fakt. Ale jeśli nie może wyjaśnić tego jako historyk, to również nie zdoła wyjaśnić tego jako przyrodnik. W żadnym wypadku nie przyniesie mu ujmę przyjęcie tego bez wyjaśnienia; bo jest to fakt, a historia i biologia ma do czynienia z faktami. Ma on pełne prawo do spokojnego stwierdzenia, że świnia ma skrzydła, a krowa przeskoczyła księżyc, po prostu dlatego, że te rzeczy się zdarzyły. Może on zupełnie racjonalnie przyjąć człowieka jako zagadkę, ponieważ przyjmuje człowieka jako fakt. Może czuć się zupełnie zadowolony w świecie szalonym i pozbawionym związku albo w świecie, który wydaje tak szaloną i niepojętą istotę. Bo na rzeczywistości wszyscy możemy się oprzeć, nawet jeśli ona wydaje się niezwiązana z niczym innym. Lecz jeśli naprawdę chcemy wiedzieć jak mogło przypuszczaćalnie do tego dojść, jeśli naprawdę pragniemy rozumieć istotny związek tej rzeczy z innymi rzeczami, zobaczyć na własne oczy, jak ona rozwinęła się z podłoża bliższej jej natury, to z pewnością musimy zwrócić się do zupełnie innej dziedziny. Musimy poruszyć bardzo dziwne wspomnienia i powrócić do bardzo prostych snów, jeśli pragniemy jakiejś genealogii, dzięki której człowiek przestanie być dziwolągiem. Będziemy musieli odkryć bardzo odmienne przyczyny, zanim człowiek stanie się wytworem łańcucha przyczyn, i wezwać inny autorytet, aby zamienić go w coś racjonalnego, albo przynajmniej w coś prawdopodobnego. Na tej drodze spotyka się wszystko, co jest jednocześnie straszne i bliskie i zapomniane, tłum przerażających twarzy i ognisty oręż. Możemy uznać człowieka za fakt, jeśli wystarcza nam fakt niewyjaśniony. Możemy uznać go za zwierzę, jeśli potrafimy dać sobie radę z fantastycznym zwierzęciem. Ale jeśli nam konieczny potrzebny jest łańcuch przyczynowości, to naprawdę musimy założyć istnienie całego preludium i crescendo wznoszących się cudów, aby wreszcie, wprowadzony wśród niepojętych gromów we wszystkich siedmiu niebach, człowiek mógł stać się czymś zwykłym.

tł. Z. Kubiak

Tydzień kulturalny

NOWA FILHARMONIA

NA Śląsku powstały dwa wielkie ochotnicze zespoły muzyczne hutników pod wspólną nazwą „Filharmonii Robotniczej”. Celem nowej placówki kulturalnej jest upowszechnianie kultury muzycznej wśród mas pracujących województwa śląskiego.

„Filharmonia Robotnicza” obejmuje 100-osobowy chór mieszany, utworzony ze zwiększonego liczebnie chóru huty „Florian” oraz 60-osobową orkiestrę symfoniczną, powstałą z połączenia orkiestr huty „Florian” i huty „Batory”.

Organizatorem i dyrygentem „Filharmonii Robotniczej” jest Juliusz Kandziara.

Fakt powstania nowego zespołu instrumentalnego świadczy o dużym zainteresowaniu Śląska dla kultury muzycznej.

MIESIĄC CZECHOSŁOWACKIEJ KINEMATOGRAFII

WE wrześniu b. r. na terenie całej Polski odbędzie się festiwal filmów czechosłowackich.

Program festiwalu przewiduje wyświetlanie następujących filmów produkcji czechosłowackiej: „Wileze doły”, „Jan Roha z Dube”, „Prípad”, „Pan Nowak”, „Pięćsetka”, „Rewolta na wsi” oraz „Niema barykada” z udziałem B. Drapińskiej, znanej z filmu „Człotki etap”.

Pokazy filmowe pozwolą nam zorientować się w osiągnięciach kinematografii czechosłowackiej i przyczynią się niewątpliwie do dalszego pogłębienia współpracy kulturalnej między naszymi krajami.

TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE W DAWNEJ SIEDZIBIE

W siedzibie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, w nowoobudowanym pałacu Staszica, wre gorączkowa praca nad przystosowaniem zabytkowego wnętrza do potrzeb i zadań tej ważnej placówki naukowej, skupiającej czołowych uczonych polskich.

Na swym dawnym miejscu znalazły się już Biblioteka Centralna TNW oraz tzw. Korbutianum, zawierające bezcenne dziś zbiory filologiczne. W podziemiach umieszczono magazyny i część ocalałych archiwów Towarzystwa. Pod nowozałożoną kopułą znajdzie w najbliższym czasie pomieszczenie Muzeum Archeologiczne im. Erasma Majewskiego. Reprezentacyjna sala posiedzeń na pierwszym piętrze już wkrótce odzyska swój wygląd pierwotny, zgodny z planami twórcy całego pałacu — architekta Corazziego. W chwili obecnej zebrania Towarzystwa odbywają się w całkowicie odnowionej mniejszej sali tzw. „błękitnej”.

Mimo trwających prac remontowych Biblioteka Centralna TNW ani na chwilę nie przerywa swej działalności. Z całego świata napływają wydawnictwa naukowe, otrzymywane w zamian za prace polskich uczonych, drukowane w specjalnych zeszytach naukowych Towarzystwa.

Prace nad wykończeniem wnętrza pałacu Staszica zakończone zostaną jeszcze w roku bieżącym.

Jednocześnie postępuje odbudowa drugiego gmachu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego przy ul. Śniadeckich, w którym znajdują pomieszczenia pracowni i instytucji naukowe oraz wielka nowoczesna drukarnia.

PROF. ST. SREBRNY LAUREATEM

ZARZĄD Pen-Clubu Polskiego przyznał doroczną nagrodę za najlepsze przekłady z literatury obcej na język polski — prof. Stefanowi Srebrnemu.

Przy wyborze kandydata jury wzięło pod uwagę całokształt twórczej pracy przekładowej Stefana Srebrnego z zakresu greckiej literatury antycznej, ze szczególnym uwzględnieniem znakomitego przekładu „Orestes” Aischylosa.

Nagroda Pen-Clubu Polskiego wynosi 100 tys. zł.

WIERSZE O CHOPINIE

WYDANA została ostatnio antologia pt. „Fryderyk Chopin natchnieniem poetów”.

Zawarte w antologii wiersze o Chopinie, pisane za życia kompozytora i po jego śmierci, zebrała i opracowała Krystyna Kobylańska, członek Komisji Naukowej Instytutu Fryderyka Chopina.

Praca ta obejmuje 200 pozycji poetyckich oraz 70 ilustracji dokumentarnych, w tym wiele dotychczas nieopublikowanych.

Na marginesie konkursu Chopinowskiego

Dnia 26 sierpnia br. w obecności wiceministra Kultury i Sztuki odbyła się w Komitecie Wykonawczym Roku Chopinowskiego konferencja prasowa, której tematem był zbliżający się Międzynarodowy Konkurs Chopinowski.

Jak słusznie stwierdzili w swoich przemówieniach zarówno min. Sokorski, jak i Komisarz Konkursu p. Witold Rudziński, obecny konkurs już czwarty z kolei znacznie przewyższa swoim znaczeniem dotychczasowe imprezy tego rodzaju.

Łączy się on bowiem przede wszystkim z obchodami Roku Chopinowskiego w stulecie śmierci genialnego kompozytora (obchodami o zasięgu międzynarodowym), a poza tym będzie pierwszą międzynarodową manifestacją artystyczną po okupacji w naszym kraju.

Dla Polski ma on jeszcze inne znaczenie. W kraju czynione są poważne starania o wykształcenie nowej sztuki i nowego jej odbiorcy. Muzyce przeczyna się dziś inną, o znacznie większym zasięgu niż przed laty rolę. W życie muzyczne coraz bardziej ingeruje Państwo, które wytycza mu kierunek, opiekuje się artystą, ułatwia mu osiągnięcie formy i kontakt ze słuchaczami, których stale przybywa. Organizuje słuchacza i przygotowuje go do korzystania z dobrodziejstw kultury.

Naturalnie jesteśmy jeszcze daleko od celu, jesteśmy na zaledwie pierwszym etapie i wiele jeszcze czynimy błędów — ale początek został zrobiony.

I na tym tle obecny czwarty z kolei Międzynarodowy Konkurs Chopinowski rozpoczyna niejako nową erę w naszym życiu muzycznym.

Przed wszystkim interesuje nas najbardziej poziom i szanse naszej ekipy, po raz pierwszy specjalnie do konkursu przygotowanej. Nie wątpimy, że zaprezentują wyższy niż dotychczas poziom i, nie uprzedzając faktów, potrafią w pojedynku z siłami zagranicznymi wyjść obronną ręką. Trening otrzymali dobry. Od roku są pod opieką

Jest to pierwszy w Polsce tego rodzaju zbiór wierszy o Fryderyku Chopinie. Wydany został w pięknej szacie graficznej przez Księgarnię Wyd. W. Galster i S-ka według projektu prof. Tadeusza Gronowskiego.

Z dużym zainteresowaniem przyjmujemy nowe wydawnictwo które — co rzadko zdarza się u nas, — ukazało się bardzo w porę, w chwili kiedy „Rok Chopinowski” wchodzi w swą fazę kulminacyjną.

MICKIEWICZOWSKI NUMER „TEATRU”

UKAZAŁ się nowy, podwójny numer (7 i 8) miesięcznika „Teatr”, poświęcony całkowicie Adamowi Mickiewiczowi w związku z obchodem 150 rocznicy urodzin wielkiego poety.

Na treść numeru składają się artykuły: Wacława Borowego „O kompozycji „Dziadów” części trzeciej”, St. W. Bałickiego — „Notatki o „Dziadach” Wyspiańskiego i Schillera”, Wojciecha Natansonowa „Nieznany dramat Adama Mickiewicza” („Konfederacji barscy”), St. Dąbrowskiego — relacje o premierze „Konfederatów” w r. 1872.

Poza tym znajdujemy w numerze omówienie inscenizacji „Dziadów” notatkę o Mickiewiczu jako widzu teatralnym w Rosji, uwagi o akademickich moskiewskich oraz szkice o przekładach „Dziadów” na język niemiecki.

WZNOWIENIE LEKKOMYSLNEJ SIOSTRY

w Teatrze „Rozmaitości”

Od dnia 4 września br. Teatr Rozmaitości wznowi swoją działalność komedia Włodzimierza Perzyńskiego „Lekkomysłna siostra”. W roli Marii wystąpi Irene Malkiewicz.

W połowie września Dyrekcja Teatru zapowiada premierę znakomitej sztuki J. Giraudoux „Amfitrion 38”, w reżyserii Bohdana Korzenińskiego. Dekoracje i kostiumy w opracowaniu prof. Andrzeja Pronaszki.

Marek Antoni Wasilewski

Pokusa

Spacerem, zwolna, przez ulice nocy
Schodzę jak w gardło rozwartą czeluści,
A gwiazdy tkwią już w niebie jak kamienie z procy
Rzucone w lepki przestwór. Gwiazdy sięją uśmiech.
Idę poprzez ciemność jak bosy misjonarz
Nawracać kasztany na szept ich prawdziwy,
A kasztany szumią, szumią liśćmi o nas,
Liśćmi, które błyszczą jak krople oliwy.
To księżyc w dekolt nocy zaglądnął z nienacka
I wiatr wstydliwie schylił bliskie drzew korony,
Asfalt zaśnie nagle jak srebrna posadzka,
Którą z góry oświetli żółty blask lampionu.
Krok i kroków echo samotnie się gonia.
Można się nie spieszyć, wszakże nikt nie ściga,
Dobrze się upajać ciepłą nocą wonią,
Gdy księżyc na drzewie żółci się jak wilga.
Tak jak snop księżycy, zgola niespodzianie
Rodzi mi się w mózgu nabrzmiały od mocy
Niespokojny płomień — oble pożądanie
I płynie ponad drzewa zatopione w nocy.
Bije tętno kroków, mrok się robi parny
I uderza głucho w błądzący bęben skroni.
Światło mruga do nas z gazowych latarni
I w sercu jakby w lampie białym blaskiem płonie.
Niewidzące oczy szukają w przestrzeni,
Palce na kształt szponów obejmują nicłość,
Jakby chciały znaleźć coś w królestwie cieni,
Co będzie prawdziwsze od światła księżycy.
I dopiero warkot motoru na drodze
Budzi nas z uśpienia w tamtym świecie złydy
I próżno chce się oba te światy pogodzić
Świat huku motorów i zwiewny świat cudu.
Idę między drzewa, jak ktoś przebudzony,
Komu jedna ścieżka otwiera horyzont.
Na przejeździe szosy niknie kształt wagonów
I światła lokomotyw trzewia nocy liżą.
Znowu dach z gałęzi ponad gniewnym czołem
I drzew szum — szept buntów, biegnie ponad mną.
Może żagiew słońca przez noc przenieść zdolam
I zwyciężę w sobie pozostającą ciemność.

Podróż do smutku

Drabiny szyn, które leżą wzdłuż mojej drogi
Są zimniejsze od bieli śniegu,
A przecież weszę ogień, czuję ogień,
Do gardła mego dobiega...
Ponad segmentem rzeki przecinki przesł —
Stalowe tęcze.
Stacje w szybach pociągu się trzęsą,
Stacje znojome mnie męczą.
Zbliżam się. Stacja smutku
Na horyzont wchodzi jak rogal.
Wagon śpiewa tę samą nutkę,
Wiatr, wiatr gorący mnie owiał.
Słupy grają jak harfy,
Zawiałowca jak mak pośród śniegów.
Pejzaż przetaczam wielobarwny,
Krajobraz wylewam z brzegów.
Okno memu spojrzeniu za małe,
Okno moim myślom za ciasne,
Gruda, las, łąki, skały,
Wieś za wsią, miasto za miastem.
Moja stacja jeszcze daleka
Niczym cała ma ziemską podróż,
Przejechałem świat — szukałem człowieka.
Znalazłem ciebie. Cyganko powróz:
Kilometry życia mijają,
Lasy wspomnień palą się z hukiem,
Sumienie... sumienie jak pajak
Zawieszony pod ostrołukiem.
Budowałem katedry marzeń,
Budowałem nadziei pałace,
Wszystko dziś z życia wymażę,
Niechaj śnieg nade mną zapłacze.
Na co wróży? Przyszłości nie chcę dojrzeć.
Oczy zamknę. Jak ślepiec, jak ślepiec...
Dość już słów, dość już ludzkich spojrzeń,
A może wbrew ludziom żyć lepiej?
Stacja moja — smutek poety,
Wyścig mój — nie wyścig do szczęścia,
Ciebie znalazł. To ty, czy nie ty?
Godzina przyjscia, czy czas odejscia?
Moja podróż — płynę nad śniegiem,
Spod bieli spogląda ożmina.
Jadę dokąd i po co? Sam nie wiem.
Życie stawić, lub życie przeklinać.
Moja podróż — mój tylko smutek,
Nic wam do niej, wy, serca parjasi,
Ja cierpieć i kochać umiem,
Nienawiść umiem zgasić.
Kto mnie pojmie, ten ze mną w drogę,
Kto w myśl bogaty i w nicość biedny
Zobaczy jak podkładam ogień
Pod wyśnione mych marzeń katedry.

Stanisław Urstein

Każdy katolicki działacz społeczny
KAŻDY KATOLIK
musi

przeczytać książkę

Ks. F. Mirka

ZARYS SOCJOLOGII

Wyd. Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego 1943 r.

Do nabycia w księgarniach
katolickich.

Adam Giszwid

O POWSZECHNĄ NORMĘ

Wyrok na Niemcy hitlerowskie, wydany przed trzema laty przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy, a zatwierdzony uchwałą Ogólnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych w dniu 11 grudnia 1946, nie zapadł nagle, od jednego pociągnięcia piórem. Pisała go — zdanie po zdaniu — powszechna świadomość ludzka na długo przed spreycyzowaniem pojęcia zbrodni przeciw ludzkości oraz ustaleniem odpowiedzialności za nie; zanim jeszcze w tytułach dzieł literackich zawarto syntezę klimatu psychicznego, to warzyszącego niemieckiemu imperializmowi. Doświadczenie ostrzeliwanych transportów ewakuacyjnych cywilnej ludności, bombardowanych mieszkań, szpitali i kościołów — doświadczenie wszelkich form eksterminacji kulturalnej, narodowościowej i rasowej wykazało w nieubłaganiu jaskrawym świetle ciężkie przesilenie cywilizacji europejskiej. Ze wewnętrzne objawy tego kryzysu narzucają się same uwadze: wszystko, czym rozszerzała i umacniała ludzkość swe władztwo nad rzeczami, zostało użyte dla niszczenia człowieka w imię mitu o panowaniu grupy „nadludzi”. Nie trzeba udowodniać, że niedopuszczenie do powtórzenia się takiego stanu rzeczy stanowi kwestię „być albo nie być” w skali szerszej niż narodowa i kontynentalna. Wynika stąd konieczność dociekania najgłębszych przyczyn zła, by móc je tępić tam, gdzie się lęgnie — u korzeni. Rozmiar katastrofy wskazuje, że istotne sprężyny leżą głęboko. — Cywilizacja, która dopuściła do powstania na jej podłożu zorganizowanego systemu zbiorowego wyniszczenia, a zagrożone społeczeństwo pozostawiła tragicznie bezradne i niegotowe do stawienia czoła niebezpieczeństwu — musi być obciążona zasadniczą wadą strukturalną czy rozwojową. Wysiłki zbiorowej samoobrony winny zdążać do wykrycia tego schorzenia. Jedynie na tej podstawie możliwe jest leczenie dotychczasowych jego skutków.

Rzucmy sprawę na szersze tło: człowiek — twórca kultury kształtuje wokół siebie świat twórczych obiektów, który z kolei oddziaływa na jego świadomość i dyspozycje twórcze. Cokolwiek nazwiemy kulturą, stanowi pochodną istnienia człowieka — i tylko w ten sposób da się wystarczająco objaśnić. Wyjdźmy ze świata rzeczy: cały mechanizm współczesnej techniki życia znosi niejako przestrzeń, kurczy względne wymiary ziemi, ułatwia kontakty ludzkie, przejawia wyraźną tendencję ku jedności świata. Zarazem jednak ta sama technika wkłada w ręce jednostek czy grup nieznaną dotychczas możliwość realizowania ich woli, panowania, choćby za cenę niszczenia wszystkiego poza sobą.

Dlaczego jednak wysiłki ludzkie poszły w tym drugim kierunku, czemu mogły się stać narzędziem zbiorowego mordy, a nie stały się narzędziem polepszenia warunków normalnego bytowania w szerszym niż dotychczas zakresie, — na to w dziedzinie kultury materialnej nie znajdziemy dostatecznej odpowiedzi. Musimy zwrócić się do człowieka.

Czy rozum ludzki, przenikający tajemnice otaczającego świata, do starczający środków do polepszenia warunków egzystencji, analizujący zdobycze i odkrywający nowe możliwości ich zastosowania, — ten rozum, z którego tak dumna była starożytność, z którego tak dumny jest człowiek nowożytny — zdolny jest sam jeden być sterem ludzkiego działania? Oczywiście temu zaprzecza. Rzeczywiste sprężyny odnajdujemy dopiero tam, gdzie pojawia się świadomie obrany cel, wiedząca do niego metoda i odpowiednio dobrane środki. Nazwijmy je krótko zasadą działania. Stanowi ona wynik zespolonej aktywności dwóch naczelnych władz człowieka: rozumu i woli. Przyznanie decydującego znaczenia świadomie przyjętej zasadzie działania idzie po linii chrześcijańskiej koncepcji człowieka. Nie o to tu jednak chodzi. Wskaźnikiem słuszności tez, odnoszących się do życia zbiorowego, jest ich empiryczna sprawczość. Pod tym względem teza powyższa zdaje egzamin, — gdyż w konkretnie rozpatrywanym przypadku żaden determinizm nie da klucza do rozszyfrowania systemu hitlerowskich okrucieństw i zbrodni. Oczywiście, nie można i nie mam zamiaru negować znaczenia całego szeregu zewnętrznych, materialnych warunkowań. Pomijam je jednak dla uwydatnienia punktu ciężkości omawianego zagadnienia.

Uwzględnienie świadomej zasady postępowania przenosi problem na płaszczyznę moralną, na której dopiero kryzys naszej cywilizacji zaznacza się z całą wyrazistością. Wiemy, co skłaniało realizatorów hitlerowskiej ideologii do wszechstronnego wyniszczenia elementów, w których widzieli przeszkodę w osiągnięciu panowania nad światem. Pozostaje otwarta druga sprawa: na jakim gruncie mógł wyrósć tak monstrualny i potworny w skutkach kompleks wyższości?

Rozwój pojęć moralnych w społeczeństwach szedł dwutorowo: od dołu i od góry. Od dołu narastały stopniowo pojęcia etyki naturalnej, zawsze związane z konkretną formacją historyczną i służące jej potrzebom. Od góry powstawały jako zamknięte systemy, konstruowane przez twórców religii i myślicieli-kodyfikatorów etyki naturalnej, obdarzonych większą niż ich współcześni, zdolnością przewidywania sytuacji,

mogących powstać w przyszłości, a zatem niejako wyprzedzających spojrzeniem swą epokę. Pojęcia moralne, formowane od dołu, zaspokajające zawsze wymagania zamkniętego układu społecznego, są w tendencji swej raczej partykularne; wartościują do bro i zło z punktu widzenia ugrupowania, którego życie normują.¹⁾ Tworzone ogólnie przejawiają dążności uniwersalistyczne, opierają się bowiem mniej lub więcej na powszechności obowiązujących norm. Skrajnym przykładem pierwszych jest moralność ludzi pierwotnych (dobre jest to, co mi przynosi korzyść, złe — to, co jest dla mnie bezpośrednio złe). Skrajny przykład drugich stanowi etyka chrześcijańska, obiektywizująca zupełnie pojęcia dobra i zła, przykładająca do każdego człowieka jedną miarę praw i obowiązków. W życiu powstaje skomplikowana sytuacja: empirycznie formułowane zasady dezaktualizują się z czasem, w zmienionych warunkach bytowania przestają wystarczać. Normy etyki religijnej, zakrojone na miarę ponadczasową, nie są doraźnie w całej rozciągłości sprawdzalne. Wymagają przyjmowania pewnych wskazań na wiarę, trudno nieraz bezpośrednio wykazać ich słuszność w danej sytuacji. A człowiekowi, zwłaszcza w miarę rozwoju intelektu, z którego jest tak dumny, coraz trudniej o wiarę. Rozdźwięk ten pogłębiany jest jeszcze okolicznością, że zasady uniwersalistyczne wymagają ograniczenia, nieraz wprost wyrzeczenia się własnych zamierzeń i pragnień w imię nieczynienia zła innym. Równocześnie jednak człowiek szuka szerokiej i mocnej podstawy swych poczynań, niejako uprawiania ich w oczach swego środowiska i wobec siebie samego. Wyrazem tego pragnienia staje się niejednokrotnie trzeci rodzaj moralności: uzasadnianie teoretyczne własnych pragnień i dążeń. W ten sposób powstają mity. W każdym z nich tkwi sprzeczność założeń: próba obiektywizacji zasad, których przydatność ograniczona jest do pewnej zamkniętej grupy, daje się określić tylko mianem anomalii cywilizacyjnej. Jeden z takich mitów — mit nadczłowieka — zdeterminował klimat psychiczny drugiej wojny światowej. Wojna ta, jak żadna inna dotychczas, była nie tylko zmaganiem sprzecznych interesów poszczególnych organizmów państwowych. Była walką o zasadę współżycia międzyludzkiego. W jej ogniu formowały się i dojrzewały zasady powszechnej normy, odpowiadającej wytworzonym obiektywnym warunkom jedności świata. Zwycięstwo alianców było nie tylko upadkiem imperializmu niemieckiego. Było upadkiem światopoglądu — i zarazem narodzinami nowych pojęć w stosunkach międzynarodowych.

Punktem wyjścia nowej doktryny stało się poszukiwanie zasady prawnej, zdolnej zapobiec ujawnym zjawiskom współczesnej struktury świata. Rewolucja francuska zdobyła równą ochronę człowieka w obrębie państwa, bez względu na przynależność klasową (stanową). Zasada ta stanowiła o sytuacji prawnej w nowoczesnych państwach narodowych. Nie mogła ona jednak sprostać potrzebom zarysowującej się nowej formacji o wyraźnie uniwersalistycznych tendencjach. Doświadczenie wykazało konieczność udoskonalenia jej, a mianowicie rozszerzenia. I oto myślą przewodnią nowej doktryny stała się równa ochrona każdego człowieka, niezależnie od rasy, narodowości i religii. Z doktryną tą powstało pojęcie zbrodni przeciw ludzkości. Moment ten stanowi zasadniczy punkt stykowy prawa i moralności. Zarówno pozbawiona elementów religijnych etyka naturalna, przyjmująca obiektywne pojęcia dobra i zła, (a więc eo ipso uniwersalistyczna), jak wyrosła na gruncie religii etyka chrześcijańska, oparte są na identycznej zasadzie wartościowania. Życiowe świadectwo przydatności i niezbędności ich wskazań — jest zarazem ich społecznym zwycięstwem.

Zasada powszechności, na płaszczyźnie której normy prawne odchodzą się z moralnymi, ma szereg ważkich konsekwencji. Pierwszą z nich jest powołanie do życia Międzynarodowego Trybunału Wojskowego i opracowanie jego statutu.²⁾ Statut ten wraz z wyrokami norymberskimi stanowi niezwykle doniosły precedens w dziejach prawa międzynarodowego. Miejsce tworzonych ad hoc umownych przepisów zajmuje koncepcja, posiadająca w założeniu charakter prawa bezwzględnie obowiązującego. Karanie zbrodni przeciw ludzkości, szczególnie zbrodni wojennych, przestaje od teraz być aktem politycznego odwetu czy doraźnego samosądu, przemienia się w akt wymiaru sprawiedliwości za naruszenie przepisów prawa karnego.

Równie znamiennym wynikiem spreycyzowania pojęcia przestępstw przeciw ludzkości jest powstanie kryzysu suwerenności państwa. Statut Międzynarodowego Trybunału Wojskowego podważa zasadę nieodpowiedzialności głowy państwa za czyny, dokonywane w imieniu państwa oraz uwzględnia ewentualność, że „może istnieć w państwie ustawa, która nie obowiązuje obywateli, oraz że obywatele mogą być sądzeni i karani przez trybunały międzynarodowe za danie posłuchu tej ustawie.”³⁾ Koncepcja ta, wprowadzona w życie, stwarza podstawę prawną do tępienia faszyzmu i zbrodni wojennych. Napoleon I i Wilhelm II, chociaż uznani aktem politycznym za burzycieli pokoju,

nie stanęli przed sądem, gdyż nie było prawa kwalifikującego ich działalność jako przestępstwo, ani trybunału, właściwego do rozpatrzenia ich spraw. Formalistyczny pogląd na zagadnienia prawne nie dopuścił do uczynienia wyłomu w zasadzie „nullum crimen sine lege”, a względy polityczne przeciwstawiły się tworzeniu precedensu międzynarodowej odpowiedzialności naczelnika państwa. Dopiero praktyka ostatniej wojny zdołała wykazać dostatecznie jasno, jak absurdalna i niebezpieczna w skali światowej jest ta postawa.

Trzecim zasadniczym aspektem Norymbergi jest prawne zrewolucjonizowanie poglądu na istotę prawa. Już w roku 1919 przy rozpatrywaniu niemieckich przestępstw wojennych z I wojny światowej zaznaczyła się różnica opinii. Amerykanie w oparciu o tradycję karania przestępstw wyłączną na podstawie prawa już obowiązującego i przez sądy istniejące w chwili ich popełnienia, kwestionowali prawne uzasadnienie projektowanych trybunałów międzynarodowych. Francuscy prawnicy przyjmowali oparcie wyroku raczej na sumieniu sędziego. W ich ujęciu prawo pisane jest pochodną sposobu reakcji społeczeństwa na czyn niemoralny; brak precedensu nie stanowi zatem przeszkody w realizacji koniecznej nowej normy. W prawie norymberskim zwyciężyła ta druga koncepcja, utożsamiająca poniekąd, na płaszczyźnie ogólno-ludzkiej zasady prawa z wymaganiami moralności.

Historyczna doniosłość prawa i procesu norymberskiego polega na stworzeniu precedensu oparcia wartościowania czynów ludzkich o zasady moralne i wyprowadzenia z tych zasad odpowiedzialności na płaszczyźnie szerszej niż państwowa. Względy polityczne zahamowały rozwój tej doktryny. Pojęcie zbrodni przeciw ludzkości i zakres odpowiedzialności za nią zostały silnie węższe. Dzisiejsza praktyka polityki międzynarodowej odbiega niejednokrotnie od zasad uchwały londyńskiej z 1945 roku. Różne czynniki w dalszym ciągu bądź tolerują, bądź popierają rozwój i odrodzenie sił faszystowskich. Niemniej jednak został uczyniony wyłom w starych, niewystarczających pojęciach. Uczyniono pierwszy krok do egzekwowania równej ochrony praw każdego człowieka na płaszczyźnie międzynarodowej, stanowiący conditio sine qua non powstającej jedności świata.

Adam Giszwid

1) André Malraux: *Czasy Pogardy*; Stefan Otwinowski: *Czas Nieludzki*.

2) por. T. Cypryan i J. Sawicki — *Walka o Pokój*, s. 25, Warszawa 1948.

3) por. tyżże autorów — *Narodziny nowej doktryny*, Warszawa 1948.

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet Lubelski

ACŁAW OLSZEWSKI

P o k ó j

Z przemocy i wycisku potęg —
wyciągnąć prawdy logarytmy,
przez szkielek krzywdy — mędrca okiem
powracające dostrzec widma.

W serc mikroscopie, w pracy kolbie,
w reakcjach pracy i człowieka —
wskazać toksyny i mikroby
płynące tętnicami wieków.

Penicyliny — przeciw wojnie,
streptomycyny — przeciw nędzy
— żądamy czujnie niespokojni
— wojenni rekonwalescenci.

W społeczną, twórczą więź — syntezę
związać element — pyłek ludzki,
by jeden program, jedna teza
— od Rio Janeiro do Irkucka.

Do

P.T. Prenumeratorów i Czytelników

Administracja tygodnika „Dziś i Jutro” apeluje do
wszystkich P. T. Prenumeratorów i Czytelników, aby
podjęli trud rozpowszechniania naszego pisma.

Jeżeli każdy z naszych prenumeratorów zjedna no-
wych pięciu, tygodnik nasz uzyska stałą podstawę finan-
sową, jeżeli abonament opłacany będzie punktualnie, to
podstawa finansowa okaże się najbardziej solidną i nie-
zawodną.

Wówczas będziemy mogli rozbudować, rozszerzyć cały
szereg naszych działów, urozmaicić pismo ilustracjami,
nie nadużywać ideowej, bezinteresownej postawy auto-
rów, zamieszczających swe artykuły na naszych łamach,
wywiązywać się punktualnie ze swych zobowiązań, słowem
pozbyć się wszystkich tak bardzo utrudniających
pracę spraw, związanych z ciężką sytuacją naszego pisma.

Czytelnicy, Od Was zależy to, jaki poziom osiągniemy
w przyszłości, czy będzie się on podnosił. Najlepsza wola
redakcji i największy wysiłek nie są w stanie przewy-
żyć trudności finansowych.

Prenumeratorzy, opłacajcie punktualnie prenumeratę.
Czytelnicy, przestańcie być wyłącznie tylko czytelnikami,
stańcie się prenumeratorami.

ADMINISTRACJA „DZIS I JUTRO”

TRAMWAJE

(Dokończenie ze str. 3-ciej)

się nie jedzie”, doleciał go gburo
waty belkot w chwili, gdy pod no-
gami poczuł wirującą powierzch-
nię asfaltu. „Właśnie, że mam
czym, ty ciężki durniu” odpowie-
dział sobie rzucając mu pogardli-
we spojrzenie. „Niezaspokojony
kompleks samopoczucia” — zde-
finiował krótko z przyzwyczajenia
odwracając się na pięcie. „Stra-
ciłem niepotrzebnie piętnaście bez
cennych minut”, pomyślał z roz-
paczliwą ulgą. Tramwaju od Alej
nie było widać. Teraz zaczął biec,
niegoniony, pozornie obojętny,

jak na treningu. Nie było już w
nim wahania, ucichły jątrzące
wątpliwości, obecnie wiedział, że
musi tam być, że tam jego miej-
sce. Wiodła go przed siebie wol-
ność ostatecznej decyzji. Owiła-
nęła sumieniem jakaś siła we-
wnętrzna, niepowstrzymana jak
powiew huraganu. Gdy wbiegał
w dzielnicę Gestapo, była godzina
piąta.

Ulica ze wszystkich stron roz-
brzmiewała strzałami.

NOWOŚĆ!

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ŚWIĘTY MIECZ

Powieść o świętym Pawle

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena 1200 zł.

NOWOŚĆ!

Jan Paweł Gawlik

W A N G

O świątyni znad norweskiego jeziora

Szosa wila się serpentyną. Ciemno-
stalowa nawierzchnia przeświecała nie-
kiedy poprzez zielen drzew, zza ostrych
stromych zakrętów. Willyś dzielnie po-
konywał każdy metr wznieślenia. Mi-
jaliśmy ładne pensjonaty kryjące się
w kolumnadzie świerków lub w bar-
dziej krągłej dekoracji co wytrzymał-
szych drzew liściastych. Za nami otwie-
rała się olbrzymia dolina w oprawie za-
lesionych gór, ze skupiskami domów roz-
sianych aż po horyzont w formie wsi
i miasteczek — jak na plastycznej ma-
pie. Góry, łagodne choć wysokie, obej-
mowały z trzech stron dolinę. Potem
daleko przechodziły w niższe wzgórza.
Falowały one łagodnie aż ku granicom
widzialności. Toteż linia pagórków za-
makała horyzont odległy o dziesiątki ki-
lometrów. Szeroka panorama rozpo-
stała przed nami grała zimnymi kolo-
rami. Zielen drzew i traw wlewała
się w ciemniejsze pasma borów, które
dalej, poprzez granat, przechodziły w
jaśniejsze, zamglone barwy dalekich
wzgórz. Tylko czerwone dachy i różo-
we, żółte i jasno - niebieskie ściany pen-
sjonatów urozmaicały koloryt swoją nie-
spokojną barwą.

Pniemy się wytrwale, „na pierwszym
biegu”. Z wyasfaltowanej szosy samo-
chód skręcił w bok, jeszcze bardziej pod
górze. Wkrótce — poprzez drogę taką,
jaka zwykle prowadzi do przydrożnego
zajazdu — dotarliśmy do wysokiego
muru z kamienia, za którym, wśród
drzew, sterczały dwie wieże. Byliśmy
u celu, u wrót małego, drewnianego ko-
ściółka wikingów, wznoszącego się na
niecałe 900 m nad poziomem morza.
Wybudowany został — tak jak widzi-
my go obecnie — w XII wieku, za pa-
nowania Olafa norweskiego.

Niezwykła to świątynia dla oka nie
przyzwyczajonego do norweskiej archi-
tektury sprzed 800 lat. Utrzymana w
staro-nordyckim stylu, mała, drewnia-
na, o ciemno - wiśniowym kolorze ścian,
z szczytami i głowami smoków sterczą-
cymi wyzywająco do wierzchołków —
jest dla nas egzotyczną nieomal budo-
wlą. Rozdziawione paszcze smoków
przypominają wschodnie motywy. Wo-
kół kościoła groby, mały przykościel-
ny cmentarz.

Wchodzimy do wnętrza kościółka,
gdzie mieszczą się główne jego atrak-
cje. Wnętrze małe, podparte symetrycz-
ną kolumnadą, ubogie — na pozór
nie nadzwyczajnego. Ściany tylko, ka-
pitele i szerokie ramy drzwi pokrywa-
ją płaskorzeźby. Co to za robota! Ryte
w twardej norweskiej sośnie, pełne eks-
presji i wyrazu, symboliki i swoistej
fantazji. Piękna była sztuka ludu kró-
la Olafa. W prostocie, w swoistym
prymitywizmie przypomina ona za-
równo nasze motywy ludowe, jak i
rzeźby ludów egzotycznych. Tematy-
ka różnorodna, przeważnie religijnej tre-
ści. Tu symboliczne przedstawienie
władców wikingowskiego państwa, tam
sceny ze Starego Testamentu. Daniel w
jaskini lwów, śmierć Goliata, ów-
dzie stylizowane tury i walczące gryfy. A
materiał! Twarda, połyskliwa jak kość
słoniowa, nieco do niej podobna — so-
sna! Ani śladu korników. Norweskie
drzewo nie zna tego szkodnika.

Turyści kręcą się po kościółku.
Przewodnik objaśnia zaciekawionych
Jakże różnie zachowują się ci ludzie.
Jedni z zainteresowaniem, powiedzial-
bym nawet z pietyzmem oglądają wną-
trze. Inni, ot, byle zbyć. Przejdą, po-
kiwają głowami i idą dalej — jak zre-
szta zwykle bywa, między ludźmi. Bez
żalu jednak, dla rzeźb i ścian, zostawia-
my ciekawy skądinąd obiekt obserwacji
ny, jakim są zwiedzający.

A ściany pełne są tajemnic.
Oto dziwny napis na framudze drzwi
w formie prostych i skośnych kresek.
Pismo runiczne! Fonetycznie jedyny
zachowany urywek brzmi pono „Aen-

dridhi skar mja: fingr: sonar: Olafs
illa”, co po polsku znaczy „Aendridhi
zaciął fatalnie w mały palec syna Ola-
fa” — jak przynajmniej utrzymuje dr
G. Gustafson, lingwista i znawca te-
go okresu.

Rzeźby także przykuwają oczy. W
małutkiej zakrystii — stajenka betle-
jemska, rzeźbiona z jednego materiału.
Przy ołtarzu okazały krzyż. Drzewce
dębowe, postać Chrystusa rzeźbiona w
lipie, pełna wyrazu w przechylonej głowie
i w ciele, w którym artysta uchwycił
bezwład śmierci. Zarówno stajenka
jak i krzyż nie pochodzą spod dłuta
wikingów. Powstały już w XIX wie-
ku. Osobliwością architektoniczną świą-
tynki są podwójne ściany dla ochrony
przed zimnem. Odległość między nimi
pozwala na swobodne przejście — ob-
chodzimy więc kościół wokół.

Wnętrze kościoła jest tak małe, że
kilkanaście osób robi w nim ciżbę. Pró-
no próbując skupienia. Daleko wikin-
gowskiej świątyni do modlitewnego na-
stroju naszych kościołów spod Rabki,
Starego Sącza i Sochaczewa — tak my-
śle. Ale co myślał i czuł syn Olafa,
ten którego „Aendridhi zaciął fatalnie
w mały palec”? — na to nie odpowie-
dzą rzeźbione ściany.

Jeszcze parę szczegółów, jeszcze rzut
oka na rekonstrukcję pierwotnego wy-
glądu z XII wieku, który prawie ni-
czym nie różnił się od wyglądu dzisiej-
szego, jeszcze krótka rozmowa z prze-
wodnikiem, parę kroków po przyległym
cmentarzu, chwila uwagi dla dzwonnicy
wybudowanej już w XIX w., ale u-
trzymanej w „macierzystym” stylu ko-
ścioła — i odjeżdżamy.

Szosa znowu wije się serpentyną. Ci-
cho, bez napędu mknie nasz samochód,
tylko hamulce jęczą na wirażach. Sze-
roki płat ziemi widoczny z wysoka
zmniesza się, horyzont przybliży, góry
coraz zazdrośniej zasłaniają nam wi-
dzialność dalekich pasm i miasteczek.
Po prawej stronie sterczy goły i jakby
ponury grzbiet Snieżki, wyprawę bo-
wemu podjęliśmy do Bierutowie koło
Karpacza, gdzie obecnie znajduje się
ów pomnik wikingowskiej sztuki.

Niezwyčajne były jego losy. Wy-
budowany w XII w. przez nieznaną
architektów i rzeźbiarzy w Norwegii
nad jeziorem Wang stał tam sobie spo-
kojnie przez 700 lat. Świątynie jednak

że nie są wieczne. Chylący się ku upad-
kowi, przeznaczony na rozbiórkę ko-
ściółek zakupił król pruski Fryderyk
Wilhelm IV za wysoką ówczesnie kwotę
120 talarów. Nabyty obiekt po roz-
montowaniu przeniesiony został do mu-
zeum berlińskiego (niektóre rzeźby i ob-
razy do dziś tam się znajdują, fragmen-
ty są również własnością muzeum w
Oslo). Następnie na prośbę właściciel-
ki obecnego Karpacza i okolic, a przy-
jaciółki Fryderyka IV, około 1842 r.
fragmenty świątyni przeniesiono z mu-
zeum berlińskiego i wybudowano z nich
kościół w Brückenbergu (Bierutowice),
przed którym staliśmy, będący częściowo
rekonstrukcją, a częściowo ponownym
montażem starego kościoła znad
jeziora Wang. Wtedy także postawiono
dzwonnicę. Z tego okresu pochodzi
również stajenka i Chrystus ukrzyżowa-
ny znad ołtarza. Jest to dzieło polskie-
go rzeźbiarza z Cieplic Jakuba, wyko-
nane — według kronik kościoła — w
1846 roku. Burzliwą przeszłość ma za
sobą kościółek. Oddany w Brücken-
bergu ewangelistom rychło stał się ul-
białą świątynią pruskich junkrów. Za-
wierali w nim uroczyste śluby nie tyl-
ko magnaci z całych Prus. Podobno
nawet z zagranicy przyjeżdżano do
Wangu. W okresie międzywojennym
świątynia była również mekką snobizu-
jących się niemieckich przemysłowców.
Obok cmentarza znajduje się pomnik
„fundatorki” kościoła owej faworyty
Fryderyka Wilhelma IV — hr. Fryde-
ryki von Reden, wystawiony przez jej
możnego protektora.

Teraz odmieniły się losy kościółka.
Nie ma już pielgrzymek niemieckich
magnatów, wiernych także chyba nie
jest za wiele, świątynia bowiem jest
obecnie „polskim kościołem ewangelicz-
no - augsburskim Wang”. Za to cieka-
wych turystów i wczasowiczów jest spo-
ro. Chodzą, oglądają, słuchają wyjaś-
nień, komentują, dziwią się — kościół-
lek wszakże jest jedną z osobliwości
Karpacza. Jakieś tajemnicze ręce u-
zupełniają nawet stare, wikingowskie
ściany ewoistymi monogramami lub re-
welacyjnym stwierdzeniem „tu byłem”!
Przewodnik biała, wyrzeka — ale nie
poradzi. Drodzy „turyści” muczą wi-
dać podkreślać swoje przywiązanie do
kulturalnych wartości.

J. P. Gawlik

wnętrze
i wystawa

WARSZAWA.

PL. GRZYBOWSKI 2.

Czytelnik uważa, że...

W ZWIĄZKU Z ARTYKULEM
„PRĘCZ Z TANDETA
RELIGIJNA”

Wreszcie odważyliśmy się na otwarty atak, na brzydotę tak zakorzenioną i tak ściśle nieraz związaną z pięknem naszej sztuki religijnej. Atak ten zapoczątkowało „Słowo Powszechne”, oby jednak nie zakończyło się tylko na gołosłownym omówieniu tematu. A temat jest nadzwyczaj poważny, o bardzo szeregach wachlarzu różnych odmian. Bowiem tandeta religijna, zły smak lub fałszywe pojmowanie pobożności objawiają się niejednokrotnie i w niejednym.

Wreszcie odważyliśmy się na otwarty atak, na brzydotę tak zakorzenioną i tak ściśle nieraz związaną z pięknem naszej sztuki religijnej. Atak ten zapoczątkowało „Słowo Powszechne”, oby jednak nie zakończyło się tylko na gołosłownym omówieniu tematu. A temat jest nadzwyczaj poważny, o bardzo szeregach wachlarzu różnych odmian. Bowiem tandeta religijna, zły smak lub fałszywe pojmowanie pobożności objawiają się niejednokrotnie i w niejednym.

Wreszcie odważyliśmy się na otwarty atak, na brzydotę tak zakorzenioną i tak ściśle nieraz związaną z pięknem naszej sztuki religijnej. Atak ten zapoczątkowało „Słowo Powszechne”, oby jednak nie zakończyło się tylko na gołosłownym omówieniu tematu. A temat jest nadzwyczaj poważny, o bardzo szeregach wachlarzu różnych odmian. Bowiem tandeta religijna, zły smak lub fałszywe pojmowanie pobożności objawiają się niejednokrotnie i w niejednym.

Wreszcie odważyliśmy się na otwarty atak, na brzydotę tak zakorzenioną i tak ściśle nieraz związaną z pięknem naszej sztuki religijnej. Atak ten zapoczątkowało „Słowo Powszechne”, oby jednak nie zakończyło się tylko na gołosłownym omówieniu tematu. A temat jest nadzwyczaj poważny, o bardzo szeregach wachlarzu różnych odmian. Bowiem tandeta religijna, zły smak lub fałszywe pojmowanie pobożności objawiają się niejednokrotnie i w niejednym.

Podobnie sprawa się przed-

stawia z obrazami czy rzezbami. Na ołtarzu stoją niejednokrotnie figury religijne czy też oleodruki, bez których w zupełności i bez żadnej straty mogłoby się obejść, a przeciwnie raczej z pożytkiem, gdyż wcale nie wpływają budująco na modlącego się.

Jeszcze gorszym objawem jest celowe chociaż nieświadome szpecenie lub ukrywanie piękna wynikające z braku odpowiednio wykształconego smaku artystycznego.

W krakowskim kościele św. Mikołaja znajduje się w prawej bocznej nawie stary pięcioczęściowy ołtarz Stanisława Skórki.

Ołtarz ten niestety jest zakurzony, słabo oświetlony, a na domiar złego stoi na ołtarzu jakiś obraz zasłaniający część ciekawego malowidła.

Takie postępowanie w myśl zasady „sami nie wiecie co posiadacie” dałoby się wykazać niejednokrotnie i to na terenie całej Polski.

W krakowskim Klasztorze Dominikanów, znajduje się mur romański pozostałość dawniej w tym miejscu znajdującego się kościoła, z późniejszym wejściem gotyckim zupełnie nieużywanym. Mur przez wiele lat był zaniedbany i nikt się nim nie interesował. Aż niedawno przeprowadzono remont, mur odnowiono otwarto drzwi oraz romańskie okienka w murze. Podobnie odnowiono średniowieczne ścienne malowidła.

To piękny przykład, w jaki sposób należy się odnosić do zabytków tak nielicznych w Polsce. Zupełnie podobnie przedstawia się sprawa z odrestaurowaniem kościoła św. Andrzeja w Krakowie.

Trzecią wreszcie, bodaj najgorszą, najniebezpieczniejszą i najbardziej rażącą tandetą religijną to książki i obrazki opustowe. Przed wojną absolutnie za dużo wydawano przeróżnych modlitewników o bardzo względnej wartości. Dziś już mniej wychodzi podobnych wydawnictw. O wiele przyjemniejszy, praktyczniejszy i pożyteczniejszy jest obecnie wchodzący w coraz większym stopniu w użycie mszałik niedzielny. Należy go tylko możliwie jak najbardziej popularyzować. Należałoby także ograniczyć wydawanie bro-

szur dewocjonalnych, których treść niemal od średniowiecza nie ulega zmianie. Instytucje katolickie wydają tyle pięknych i pełnowartościowych książek. Te właśnie wydawnictwa należy dbać, by się stały jak najdostępniejsze.

Przed wojną inteligencja niejednokrotnie nie chciała czytać książek religijnych ze względu na ich małą wartość wewnętrzną, niski poziom literacki, czy nawet wygląd estetyczny (oprac. graf.). Nie należy się bardzo na wet temu dziwić, bo wiem dobre czy nawet bardzo dobre prace (które należałoby dzisiaj wznowić) nikły niejednokrotnie w powodzi przed chwilą wspomnianych wydawnictw.

Podobnie ma się sprawa z obrazami religijnymi. Całe ich galerie możemy widzieć na każdym odcinku czy w każdej niemal chacie wiejskiej. Uważam, że właśnie od władz duchownych zależy ograniczenie w wydawaniu tych niesmacznych kiczów. U mahometan malowanie czy rzeźbienie osoby boskiej jest surowo zabronione. Jest w tym wiele słuszności. Nie tylko bowiem imię ale i wizerunek osoby boskiej wymaga od nas czci i poszanowania. Mamy przecież dużo obrazów o tematyce religijnej mistrzów pędzla o światowej sławie. Te więc dzieła popularyzujmy.

A teraz jeszcze jedna sprawa, może niezupełnie związana z poprzednim tematem. Otóż walcząc z tandetą religijną walczmy równocześnie z zaborami religijnymi i z pseudopobożnością.

Bardzo często oburzam się na widok wiejskiej kobiety całującej brudną posadzkę kościoła. Uważam, że nie wymaga to więcej komentarzy, choćby tylko jakie to niehygieniczne. Niewątpliwie rozumiem, że jest to wyrazem pewnej pobożności, lecz niestety źle zrozumianej. Czyż nikt się nie znajdzie, kto mógłby wytłumaczyć tym kobietom, że to ich pobożności nie zwiększy?

Usuńmy z naszych praktyk religijnych błędne poglądy na pobożność, a ukaże nam się wiarą nasza w świetle o wiele czystszy i w całym swoim pięknie.

Z. Gajdaj

KOMUNIKAT Ministerstwa Kultury i Sztuki

Ministerstwo Kultury i Sztuki w ramach Centralnej Szkoły Pracowników Kulturalno - Oświatowych w Jadwisinie organizuje w roku szkolnym 1949/50 następujące kursy instruktorskie:

I. od 15 września do 15 grudnia 1949 r. — 3-miesięczny kurs dla instruktorów ruchu amatorskiego w dziedzinie Sztuk Plastycznych. Program kursu przewiduje: zagadnienia społeczno - polityczne, zagadnienia polityki oświatowej i form pracy kulturalno - oświatowej wśród dorosłych (wykłady i ćwiczenia), zasady muzealnictwa i ochrony zabytków, dekoracje wnętrz świetlic i domów kultury i okolicznościowe, transparenty, dekoracje domów oraz scenografii.

II. Od 15 września do 15 grudnia 1949 r. — 3-miesięczny kurs dla reżyserów teatrów ochotniczych.

III. Od 7 stycznia 1950 do 7 czerwca 1950 r. — 5-miesięczny kurs dla dyrygentów chórów i orkiestr przy świetlicach i domach kultury.

IV. Równoległe do kursu wymienionego pod pkt. III przewiduje się kurs dla kierowników zespołów tanecznych.

Na kurs I mogą być przyjmowani kandydaci posiadający zdolności kierownicze i organizacyjne oraz dużą aktywność społeczną i pozytywną opinię organizacji społecznych, którzy w ciągu ostatnich dwóch lat uzyskali w jednym z państwowych względnie posiadających uprawnienia szkół państwowych Ognisk Kultury Plastycznej świadec-

two dojrzałości, świadectwo ukończenia trzyletniego kursu Kultury Plastycznej, bądź świadectwo dojrzałości dwuletniego Liceum Sztuk Plastycznych, nadto uczestnicy b. Rysunkowego Ogniska wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego w Krzemieńcu i Wiśniowcu oraz zawodowi artyści plastycy.

Na kursy II, III i IV mogą być przyjmowani kandydaci posiadający: 1) co najmniej „małą maturę”, 2) zdobyte kwalifikacje zawodowe w odpowiedniej szkole artystycznej, względnie wykazujące się specjalnymi uzdolnieniami w danym kierunku oraz przynajmniej jednoroczną praktyką artystyczną, odbytą w świetlicy lub w Domu Kultury, 3) pozytywną opinię organizacji społecznej, w której pracują.

Kandydaci i kandydatki przyjęci na kurs podpisują deklarację zobowiązującą do 2-letniej pracy na terenie świetlic i innych ośrodków artystycznych ruchu amatorskiego oraz w instytucjach podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki.

Koszty zakwaterowania na powyższe kursy z dołączeniem własnoręcznie napisanego życiorysu i świadectw szkolnych oraz opinii organizacji społecznych należy kierować do Ministerstwa Kultury i Sztuki, Departament Szkolnictwa Artystycznego (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 17), za pośrednictwem Zarządów Wojewódzkich właściwych organizacji społecznych.

KSIĘŻA MARIANIE

Zgromadzenie apostołskie służące czci Niepokalanej przez wszechstronną działalność wychowawczą, naukową, społeczną i duszpasterską — przyjmuje kandydatów do kapłaństwa, nie wykluczając spóźnionych wiekiem, do wszystkich klas gimnazjalnych i licealnych. Posiadający ukończoną przynajmniej kl. IX mogą się zgłosić do nowicjatu. Po nowicjacie młodzieńcy kształcą się na koszt Zgromadzenia.

Przyjmuje się również kandydatów na braci bez względu na wykształcenie.

Zgłoszenia kierować: Warszawa, ul. Wileńska 69.

Na zamówienia kierowane

do
administracji „DZIS I JUTRO”
Sp. Wyd. „PAX”

WYSYŁA

powieść
G. BERNANOSA

„POD SŁOŃCEM SZATANA”

Prosimy o wpłatę zł. 950— za egz.
na konto PKO I-8515 lub przekazem pocztowym



*Sieci rybackie cienkie i grube
Uzite przeciwpożarowe tłoczne*

Fachowość, długoletnie doświadczenie i sumienność w robieniu, to nasz sposób wytwarzania niezmiennie doskonałości naszych wyrobów

WYTWORNIA WYROBÓW TKACKICH
iż WITOLD IZDEBSKI i S-ka
IUJIS/SP. AKC. GRODZISK MAZ. SPÓŁDZIELCZA 2 tel. 7067

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-85555